

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 22 PAŹDZIERNIKA 1927 ROKU

NR 43

TREŚĆ NUMERU: Na marginesie projektu ustawy o ustroju szkolnictwa—*Dr. Marja Kuźmińska*. Wina i kara — *Zofja Miszewska*. Wiersze: z cyklu „Zwierciadło duszy”: — „Nieznane”, „Przy spotkaniu”, „Duch i ciało”, „Wzlot i upadek” „Niedoskonałość”—*Kazimiera Młakowiczówna*. Księżna Łowicka (c. d.) — *Adam Czartkowski*. Koszula Dejaniry (nowela) c. d. — *Herminja Naglerowa (J - a Stycz.)* Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Bal u dobrej wróżki—*Stefanja Podhorska-Okołów*. Kobieta w świecie i w domu—*N. J. i R. C. H.* Coś niecoś o gentlemanach warszawskich i anglosaskich (c. d.) — *Han. Skar.* Życie towarzyskie — *W. D.* Hodowla winogron (c. d.)—*Zofja Łempicka*. Pokaz ogrodniczy — *Pani Elżbieta*, Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: *Godety — Well*. Dzisiejsze wyprawy. Modna stara szydełkową robotą. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring*. — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*.

Arkusz wzorów.

NA MARGINESIE PROJEKTU USTAWY O USTROJU SZKOLNICTWA

Wezwanie p. Ministra W. R. i O. P. do wypowiedzenia uwag przez szeroki ogół, w sprawie projektu ustawy o ustroju szkolnictwa, spotkało się ze zrozumiałym zainteresowaniem. Zanim projekt ustawy wejdzie pod obrady ciał prawodawczych, społeczeństwo ma możliwość wypowiedzenia się na temat tak ważkich spraw, jak organizacja szkolnictwa, które jest podstawą rozwoju kulturalnego narodu.

Jakież to proste, a jak słuszne postawienie sprawy: poruszyć myśl, wciągnąć całe społeczeństwo w twórczą pracę nad zagadnieniami, które muszą obchodzić wszystkich, posiada niesłychanie ważne znaczenie wychowawcze. Znaczenie tego wezwania zrozumiała prasa, to też na łamach pism coraz więcej odzywa się głosów, a wymiana myśli przyczyni się do zajęcia względem ustawy coraz bardziej świadomego i głębokiego stanowiska.

Broszura, zawierająca projekt o ustroju szkolnictwa, składa się z dwóch części: pierwsza—to postanowienia, które tworzą właściwą ustawę; druga — obejmuje objaśnienia, które tłumaczą, czem kierowała się komisja, tworząc ustawę. Idee przewodnie, którymi kierowali się twórcy projektu, mają wpłynąć na „ugruntowanie jedności kulturalnej społeczeństwa” i „podniesienie poziomu twórczości kulturalnej”. Osiągnięciem się to przez taki ustrój szkolnictwa, który będzie „realizował intensywny program polityki oświatowej i zapewni ogółowi obywateli możliwie najpełniejszy dostęp do kultury”. To zadanie spełnić ma szkoła

powszechna najwyższego stopnia organizacyjnego, szkolnictwo doksztalcające i instytucje oświaty pozaszkolnej.

„Intensywny program polityki oświatowej”—czytamy dalej — „może być realizowany przez ustanowienie odpowiedniej podstawy wykształcenia obowiązkowego dla ogółu ludności”.

Co ma być tą podstawą?

Siedmioletnia szkoła powszechna. Ona otwiera drogę do dalszego kształcenia się; pozwala uczniowi wstąpić do szkoły średniej po uprzednim sprawdzeniu jego kwalifikacji. (Art. 19).

Jak słusznie zaznaczone jest w przedmowie do projektu „koło zagadnienia stosunku szkoły powszechnej do średniej toczyła się dotychczasowa dyskusja publiczna”. Różnica poglądów podzieliła społeczeństwo na dwa przeciwne obozy, niezależnie nawet od poglądów politycznych.

Trzeba przyznać, że zasadniczych podstaw do podkreślania różnicy w poglądach na „jedność szkoły” — niema; słusznie projektodawcy nazywają to „nieporozumieniem”. Kto będzie sprzeciwiał się temu, żeby dzieci od 7 — 14 r. życia kształcone były w dobrze prowadzonej szkole powszechnej? czy szkoła powszechna najwyższego typu organizacyjnego, w której wykładają wykwalifikowani nauczyciele, posiadająca wszystkie pomoce naukowe, we własnych gmachach, stoi niżej w rzeczywistości, a zatem i w opinii społeczeństwa, od niższych klas przeciętnego gimna-

zjum? Wszyscy odpowiedzą:—nie. — Różnica poglądów musi więc mieć swe źródło gdzieindziej: wpływa ona z praktyki, z obserwacji dotychczasowego szkolnictwa powszechnego. Obawy obniżenia kultury, które wysuwa obóz, domagający się utrzymania 8-io klasowego gimnazjum, oparte są na tej obserwacji. Twórcy projektu ustawy rozumieją stanowisko jednych i drugich. Ustawy nie tworzy się na dzień dzisiejszy, tylko na przyszłość, a szkolnictwo powszechne podnosi się coraz bardziej, ono przecież jest „pierworodnym dzieckiem Ministerstwa Oświaty“. Obawy jednak są zupełnie słuszne, jeśli chodzi o okres przejściowy, który niewiadomo, jak długo będzie trwał. I dlatego znajdujemy w broszurze wielką ilość zastrzeżeń: w art. 19 czytamy: „Do szkoły średniej przyjmuje się po uprzednim sprawdzeniu kwalifikacyj“. O konieczności sprawdzania kwalifikacyj czytamy na str. 17, 31, 36 i 40.

Nasuwałoby się jednak pewne zastrzeżenie. Młodzież, kończąca siedmioletnią szkołę powszechną, posiadająca odpowiednie kwalifikacje, będzie wstępowała do szkół rządowych, lub samorządowych, ale tutaj może odegrać wielką rolę materialny stan posiadania rodzin kształcących, które będą miały możliwość posyłania dzieci do szkół prywatnych.

Szkoły prywatne różnią się pod względem poziomu naukowego, różnić się będą i wymagania przy sprawdzaniu kwalifikacyj. Szkoły, stawiające najwyższe wymagania, będą miały najmniejszą ilość uczniów. Aby temu zapobiec, nasuwałby się projekt utworzenia komisji kwalifikujących, które w okresie przejściowym, zanim szkolnictwo powszechne nie stanie na wymaganym poziomie, kwalifikowałyby młodzież do szkół średnich. Byłoby to sprawiedliwiej, gdyż komisje miałyby jednakowy poziom wymagań, młodzież zaś korzystałaby na tem, gdyż ocena komisji kwalifikującej dawałaby możliwość wstąpienia do najlepszych szkół.

O wiele szybciej da się przeprowadzić reformę szkolnictwa w ośrodkach miejskich, gorzej jest na wsiach. Tworzenie pewnej ilości siedmioklasowych szkół powszechnych na cały powiat nie da jeszcze możliwości kształcenia się bardziej uzdolnionym jednostkom, o ile szkoła będzie daleko od miejsca ich stałego zamieszkania, i tutaj nasunęła się twórcom projektu doskonała myśl: zakładania burs,—powiedziałabym, za mało podkreślona,—otwieranie burs bezpłatnych przy 7-iokl. szkołach powszechnych, winno być obowiązkiem gmin: będzie to pierwszym krokiem na drodze reformy szkolnictwa na wsi.

Mówiąc o szkołach powszechnych na wsi, poruszę jednocześnie sprawę dokształcania młodzieży powyżej lat 14-u. W objaśnieniach szczegółowych słusznie jest zaznaczone, że „rozsiedlenie ludności wiejskiej powoduje trudności powszechnego zastosowania obowiązku dokształcania się“. Trudność tę możnaby choć w części usunąć przez tworzenie kursów wędrownych, które w cyklach wykładów poruszałby zagadnienia, związane ze sprawami zawodowymi, zależnie od danego środowiska.

Przechodząc teraz do szkolnictwa średniego, które jest ogniwem między szkołą powszechną, a szkołami akademickimi, trzeba stwierdzić, że projekt ustawy pozwala odetchnąć swobodniej,—jakby otworzono oddawna zamknięte okna. Tym świeżym prądem powietrza jest zasada: aby żadna szkoła nie zamykała przed kończącymi ją jednostkami dostępu do szkół stopnia bezpośrednio wyższego, a zdobywanie wykształcenia zależne będzie od tego, czy „dana jednostka posiada potrzebne przygotowanie do pracy“.

Co się tyczy poglądu na stan dzisiejszy szkolnictwa średniego i akademickiego, to daje się wyczuć zbyt teoretyczna znajomość tego stanu. Szkoła średnia ogólnokształcąca nie jest już dzisiaj tem, czem była w pierwszych latach budowy państwa polskiego; dzisiaj nietylko niema przepełnienia, ale znajduje się ona w upadku; napływ do szkół państwowych bezpłatnych, których jest tak niewiele, nie może być miarodajny. Objawy „choroby“, jak został nazwany pęd do kształcenia dzieci w gimnazjum, stają się coraz radsze. Nikt już dzisiaj chyba nie patrzy na szkołę średnią, a nawet na szkoły akademickie, jako na „rozdawniczkę przywilejów życiowych“.

Również z teoretycznej znajomości wpływa pogląd na zapełnianie się szkół akademickich młodzieżą o niskim poziomie kultury, której pozwalają na dalsze kształcenie warunki materialne: jeszcze niedawno biadano nad tem, że tak mało młodzieży kończy wyższe studia, ponieważ 75% zarobkuje,—jest to więc młodzież uboga.

Jedno, co uzyskała w projekcie ustawy prywatna szkoła średnia ogólnokształcąca, to uwzględnienie jej inicjatywy w związku z jej organizacją.

Projekt ustawy jest owocem głęboko przemyślanej pracy. Objasnienia, które czytelnika wprowadzają w bieg pracy, pozwalają na uświadomienie swego stanowiska względem zagadnień, tam poruszanych, które ujęłam w uwagach na marginesie. *Dr. Marja Kuźmińska.*





Biblioteka



Szkoła dla dorosłych

ZOFJA MISZEWSKA

WINA I KARA

(Wrażenia więzienne)

Nie wiem, zupełnie nie wiem, jakich słów użyć, aby odmalować dziwność bezsłonecznych oczów małego Gedali, które spojrzały na mnie z progu celi więziennej; nie wiem, jak opisać tę jakąś bolesną pogodę wyrazu ust matki-kryminalistki, gdy lekko pogładziłam kędziorowatą główkę dziecka.

Prostu, chce się tylko zakrzyknąć na dawne dziecinne wspomnienia, aby przyszły coby prędzej i zakryły przedemną ten smutek dzieci, zrodzonych w więzieniu, które od najwcześniejszych dni swoich stykają się z grzechem, a później, dużo później dopiero — z przebaczeniem.

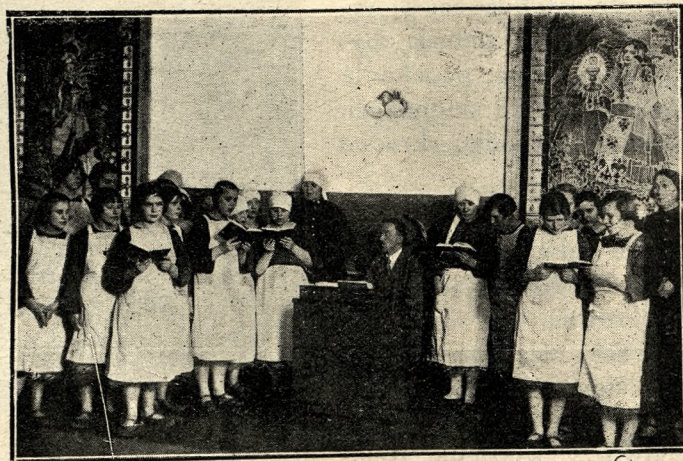
To nic, że jasne, czyste i słoneczne cele dają złudzenie radości życia, a kwiaty w oknach kwitną z całym zapachem młodej wiosny — więzienie jest ciemne w głębi swej zamkniętej duszy. I właśnie dysharmonia między zewnątrznością więzienia, a jego istotną treścią, odbiła się we mnie echem jak najbardziej tragicznym; ot, prosto przepaść między usiłowaniem, a rzeczywistością, przepaść, której chyba nigdy przebyć nie będzie można.

Te wszystkie refleksje nie przyszły jednak od razu, od razu bowiem dałam się uwieść pozorom. Bo pomyśleć, cóż może

być na pierwszy rzut oka smutnego w bieli ścian celi, zalanej słońcem i błyszczącej wyfroterowaną, jak szkło, posadzką? jak dziwnie radosna jest izba warsztatowa, przybrana barwnie haftowanymi makatkami, gdzie kryminalistki haftują, plotą pantofle, robią trykotaże i gadają, gadają z ferworem, jakiego nawet więzienie nie mogło w nich przytłumić. Przechodziłam kolejno z warsztatu do szkoły, stamtąd do biblioteki do szpitala, który białiał rzędami czysto zasłanych łóżek, i dziwiłam się słoneczności wewnątrz. Dopiero w celi dla matek, gdy spojrzały na mnie przesmutne oczy małego Gedali, spostrzegłam i zrozumiałam szarość smutnych, często tragicznych twarzy kobiecych, ukrywających pod białą naiwnych chusteczek wstrząsające dramaty. Każda z nich trwa pośród jasnych

ścian i dobrych uśmiechów „władzy“ ze swoim brzemieniem zbrodni, grzechu, czy winy — i pokutuje, albo „poprawia się“, jak chcą tego ludzie z zewnątrz. Ale — czy aby naprawdę?

Typ polskiego więzienia jest raczej poprawczy, niż karzący. Kara — to tylko pozbawienie wolności, natomiast dążenie do podniesienia poziomu moralnego idzie wielu i różnorodnymi drogami. Przede wszystkim, praca: nie



Lekcja śpiewu w kaplicy więziennej. Witraże, kopja Mehoffera, wykonana przez jednego z więźniów



Koncert przez radio

wolno aresztantce siedzieć z założonymi rękami: musi szyć, haftować, uczyć się (przychodzi specjalna nauczycielka do szkoły), czytać. Pozatem, przestępczynie, które jednak rekrutują się przeważnie z niższej sfery (mówię o kryminalistkach) po przestąpieniu progów więzienia wchodzą w świat pewnej kultury: wielkie, świetnie urządzone łaźnie, pralnie i kuchnie, oto królestwo, skąd niejedna wyniesie wiele, bardzo wiele dobrego do swojego powięziennego życia.

Natomiast sprawa bezpośredniego wpływu na sumienie jest cokolwiek zagmatwana. Przedewszystkiem sprawa religii: jest kaplica z bardzo, ale to bardzo pięknie skopjowanymi przez jednego z więźniów witrażami, jest nauka śpiewu kościelnego, odprawiają się nabożeństwa; jednak, pomimo pełnej serca i bezinteresownej pracy księdza Bokalskiego, kontakt aresztantek z religią jest dość luźny. Zbyt dalekie są widać te serca od skruchy i żalu, aby mogły znaleźć pociechę w ukorzeniu się przed Bogiem.

Pewną rolę odgrywa tu jednak władza więzienna, której od czasu do czasu uda się zdobyć coś w rodzaju zaufania. Rezultaty tego nie są jednak zbyt zachwycające: kobiety do przestępstwa popchnęła albo rozpacz, albo też zdecydowanie złe skłonności. Rzecz dziwna, ale w tym ostatnim wypadku skrucha jest częstsza.

Bowiem u kobiet z pierwszej kategorii charakterystyczną jest pewnego rodzaju zakamieniałość, czy też zawziętość bólu, i trzeba bardzo silnego pchnięcia od zewnątrz, aby tę skorupę rozbić, aby wydobyć z ust przestępczyni to jedno jasne, niczem nie zastąpione słowo: — nie będę. — To słowo zamyka pewien bogaty okres wewnętrznych walk, które powstają wskutek atmosfery, jaką usiłuje wytworzyć więzienie: atmosfery nie kary, nie pogardy złego człowieka, ale pogardy złego czynu i odsuwania go gdzieś, poza

najdalsze mury życia, przez długie i spokojne godziny pracy.

A jednak, jednak większość tych kobiet, wypuszczona na wolność, wraca do dawnych nałogów i po pewnym czasie — do więzienia. Na tem właśnie polega tragiczne perpetuum mobile przestępczości, którego nie może usunąć więzienie, choćby najbardziej humanitarne. Bo oto wypuszczona na wolność kobieta, choćby o najlepszych zamiarach na przyszłość, siłą rzeczy wchodzi do dawnego, brudnego życia; a czasem gorzej jeszcze, porywa ją nędza, brak pracy, prosto wyrzucenie poza nawias poprzedniego życia groźnym: — „karana sądownie“.

Więc cóż? znowu narastają winy, coraz cięższe i bolesniejsze; winy, popełniane z nędzy, z opuszczenia, ze słabości.

Prawda, jest patronat dla więźniów, który... daje jednorazowo, czasem dwukrotnie, drobny zasiłek pieniężny. I już. To wszystko, na tem polega cała akcja, to jest cała opieka nad tymi ludźmi, którzy, jak rekonwalescenci, po pierwszym upadku już się nie podniosą.

Więzienie leczy pracą, leczy jasną i czystą atmosferą i dobrocią serc; patronat wykrzywia świadomie tę drogę, dając pieniądze.

Gdy zapytałam w patronacie o pracę, powiedziano mi, że popyt jest duży, a podaż żadna.

— Tak, tak, społeczeństwo nie wierzy byłym przestępcom, i nie można się temu dziwić — mówi bezradnie „pani“ z patronatu.

Ja jednak myślę, że dziwić się można.

Bo gdyby patronat zajął się bliżej przestępczyniami, gdyby je znał szczególnie tak, jak je zna np. „pani naczelniczka“; gdyby zechciał choćby się informować, kiedy która będzie zwolniona, gdzie chce pracować i jaką ma opinię, a nie czekał, aż sama biedota przyjdzie do niego, — to wiedziałby, że ta, a ta kobieta jest warta uczciwej pracy, a za tamtą można



Oddział dla nieletnich — gimnastyka

nawet ręczyć; myślę, że w więzieniu jest więcej nieszczęścia, niż grzechu, i że do nieszczęścia trzeba podejść pierwszym i nawet narzucić mu opiekę.

Przytem społeczeństwo nie jest więcej ostrożne, niżby należało, jeśli nawet do redakcji „Bluszczu” przychodzą listy z zaoferowaniem pracy dla aresztantek. Tylko nikt nie wie, gdzie się udać, gdzie zasięgnąć bliższych informacji o kandydatce, i wogóle, czy taka kombinacja jest możliwa.

Patronat wstydliwie ukrywa swą działalność w powodzi maleńkich, jałmużniczych czynów, zamiast głośno krzyknąć o pracę i jeszcze raz o pracę.

Zagadnienie powięziennego życia przestępczyni jest jeszcze boleśniesz w stosunku do tak zwanych „nieletnich”. Specjalny oddział tego rodzaju w więzieniu kobiecym uderzył mnie jeszcze wybitniejszym tuszowaniem „więziennosci” atmosferą cichego, radosnego spokoju. Oto znowu klasa, przybrana barwnymi wycinankami, i pokój do robót, gdzie szereg jasnych i ciemnych główek pochyla się mozolnie nad haftami, i sypialnie (tj. przepraszam, cele) czyste i jasne. Mimowoli ogląda się człowiek za komfortem. — Gdzie tu przestępstwo? — pytam zdumiona. P. Obuchowiczówna, najśłodsza „naczelniczka”, jaką można sobie wyobrazić, uśmiecha się trochę melancholijnie:

— Siedzą przeważnie za prostytutkę, czasem za kradzież, ale miłe są bardzo i... ciekawe — kończy z uśmiechem.

Zaczynam pytać i dowiaduję się, że akcja poprawcza idzie tu bodaj jeszcze żywszym tempem, niż w oddziale dla dorosłych.

Jest praca, i nauka, i sporty, i gimnastyka pod kierunkiem harcerki, i gry w więziennym ogródku. Ot, poprostu — internat.



Oddział dla nieletnich—gra w krękieta

System ten w stosunku do nieletnich daje o całe niebo cudowniejsze rezultaty, aniżeli w stosunku do kobiet starszych.

— Tylko, — mówi p. Obuchowiczówna—siedzą za krótko. Po wyjściu z więzienia również zatracają się bez reszty w wirze poprzedniego życia; wracają do swych amantów - bandytów, a wszystkie dobre natchnienia schodzą do roli epizodów. Nieszczęściem jest brak odpowiednich zakładów, gdzieby można umieszczać dziewczynki o lepszych skłonnościach.

I ja myślę, że jest to nieszczęście. Zakłady tego typu, które istnieją, nie wystarczają ani jakościowo, ani ilościowo.

Coś nie coś się robi, ale wolniutko, ale leniwie, a tymczasem tysiące istot stacza się w błoto, bo społeczeństwo postanowiło opiekować się nimi tylko do pewnych granic. Więzienie jest po to, aby wyrwać jednostki ze zgniłej atmosfery i „poprawiać”. Po pewnym czasie opieka się kończy, jednostka wraca do grzechu, a społeczeństwo twierdzi, że zrobiło wszystko, co mogło, gdyż powiedziało, że „stad — dotąd” ma się ten ktoś poprawić. A cóż na to patronat?

Takie oto myśli zaprzętały mi głowę, gdy prowadzona przez dozorcynie (dziwnie słodkie twarzyczki mają te „siostry miłosierdzia”), przechodziłam labirynt korytarzy.

Jedna, druga warta, przepustki, i oto ciężka krata zamknęła się za mną.

Uniosłam wspomnienie smutnych oczą Gedali, który dotąd nie zobaczy życia, aż matka jego, nędzna żydówka, nie odpokutuje za kradzież—z biedy; i uniosłam wspomnienie radości 15-to letniej Marchewki, która jutro będzie zwolniona, a tylko martwi się, czy dostanie pracę; wreszcie wspomnienie bladej twarzy kobiety, która w przystępie szału zarabiała siekierą swego dwuletniego synka...



Oddział dla nieletnich—roboty



NIEZNANE

Jeszcze nie wszystko we mnie jest dla mnie znajome,
 żyję w przedsionku, jak na słonecznym podwórzu:
 O gołębie moje, o klomby żółtych begonji,
 o róże... róże...
 Jest dom i korytarze ciemne i kryjome,
 i zegar, który drży, jak serce i jak serce dzwoni,
 i galerje, patrzące umarłych oczyma
 i—Bóg, który jest wszędzie, jest tam, gdzie mnie niema.

PRZY SPOTKANIU

Jeśli Cię kiedy, Boże, w moim domu spotkam,
 nie Twoją Eucharystję, rzecz świętą i słodką,
 nie projekcję Twojej myśli, wielkiego człowieka,
 lecz Ciebie, Wiekuisty, na którego czekam,
 — o racz szerokość skrzydeł mych zwiększyć bezkresnie,
 o zechciej ciało moje wtłoczyć w takt mej pieśni
 i mnie, skrzydlate słowo, muzykę ognistą,
 mianować w Twoim poczcie anielskim lutnistą.

DUCH I CIAŁO

Duch nieśmiertelny,
 zamknięty w ciele człowieka,—
 nienawidzę odpornej gliny,
 która mnie, wiążąc, obleka;
 od wysiłku mych skrzydlisk i szponów
 rysuje się przekłeta skorupa...
 Z jakimż hymnem niebosiężnej radości
 wylecę zwycięsko na trupal

WZLOT I UPADEK

Gdy radości pełna, od zwycięstwa ledwie oddychająca,
 stoję w jasnym powietrzu, jak strzała u końca lotu
 — czuję nagle na sercu dłoń Cheruba, który mię strąca,
 i wiem, że klęska pewna i upadek najniższy mój gotów.

NIEDOSKONAŁOŚĆ

Siła i czystość życia — potężny rytm Boży,
 w który do samej śmierci człowiek się nie włoży.
 i będzie nterytmicznie targał się i trwożył.

Miłość, uświęcająca ciało, krew i kości,
 jak melodia, co dźwięki zmusza do wspólności...
 ...Ale człowiek knuł będzie niechęć i zazdrościł.

Wiary słodycz dojrzała, niby skrzypiec solo
 ponad ciszą orkiestry... Ale nie pozwolą
 na ciszę i na słodycz podejrzliwe troski,
 nieufność jadowita, zwątpienia, co bolą
 jak cierni w ranie. Więc kiedy zejdzie poseł boski
 w blaskach purpury, złota i fioletu,
 aby rozdzielić przecięciem sztyletu
 od ciała duszę
 — zaskomli zgrzyt, jakgdyby kto blachy miedziane
 [ostrzem szabli ruszył.

ADAM CZARTKOWSKI

KSIĘŻNA ŁOWICKA

IV.

KOLCE I RÓŻE

Nie mamy żadnych śladów co do tego, jakie myśli i uczucia skłoniły Joannę Grudzińską do wyjścia za człowieka tak znienawidzonego przez jej rodzime społeczeństwo. Nie umiemy powiedzieć, czy to była ambicja, czy próżność, czy uczucie, czy może nadzieja, że swoim wpływem ułagodzi choć trochę rozjuszony „monstrum“ i pozyska go dla rodaków. A może i co innego tu podziało decydująco: „oto nie pierwszej już była młodości — liczyła już 29 lat — w domu szczęśliwą nie była, szczęścia się skąd inąd nie spodziewała, zmęczona była dotychczasową egzystencją i na takiej odmianie tylko uzyskać mogła“.

W każdym razie pierwsze dni i tygodnie po ślubie dały jej ambicji, czy uczuciu zupełne zadowolenie. Z dalszych planów, na których dotychczas pozostawała, wysunęła się odrazu na pierwszy. Wszyscy kłonią przed nią głowy i ustępują jej miejsca — najpoważniejsze damy i najwyżsi urzędnicy. Mąż otacza ją najczulszemi staraniami, a Cesarz nadaje jej tytuł księżny Łowickiej, który ma spaść i na jej dzieci, gdyby przyszły na świat.

To też czuje się zupełnie szczęśliwą i daje temu wyraz jak najbardziej dobitny w listach do siostry Antoniny Chłapowskiej: „Tak się czuję szczęśliwą! — woła w liście z dnia 20 czerwca 1820 r. „Obyś kiedyś mogła być tak szczęśliwą, jak ja się nią czuję!“ powtarza o parę wierszy niżej w tem samem piśmie.

Wnet się jednak coś popsulo w młodem małżeństwie i wszyscy zaczęli zauważać, że z Księżną dzieje się coś niedobrego. Śmiertelna bledność jej lic, rozwiane w nieładzie włosy, błędne oczy, ruchy machinalne i jakies dziwne osłupienie czyniły ją podobną do Ofelji.

Wielki Książę był mroczny i nie mógł ukryć niezadowolenia... Słowem wszystko zdradzało jakies wewnętrzne rozterki i bolesne zawody.

Z relacyj pamiętnikarskich łatwo dojść, że przyczyną tego wszystkiego była dawna kochanka Księcia, pani Weissowa, która, wykorzystując swe wizyty w Belwederze u syna, siłą i przebiegłością zaczęła wtargać między małżonków i brać prym przed Księżną. Doszło do tego, że odwiedzać zaczęła Księcia rankami w jego sypialni, a razu pewnego — zapewne dla zaznaczenia swego wpływu — ośmieliła się zażądać od Konstantego oddania sobie fortepianu, podarowanego Księżnie przez Aleksandra I, i — niestety — otrzymała od niego ten instrument.



Joanna ks. Łowicka — według litografji Letronne'a

Czyż można wyobrazić sobie większe poniżenie prawowitej małżonki — i to tak prędko po ślubie?!

Biedna Księżna nie znajdowała w nikim oparcia i dopiero Aleksander, przyjechawszy do Warszawy i stwierdziwszy przypadkowo, jak stoją sprawy, wziął w obronę bratową i uwolnił ją od aroganckiej Francuzki, którą wysłał zagranicę, gdzie zmarła w 1824 r.

Z chwilą wyjazdu upartej ekskochanki, stosunki między małżonkami zaczęły się powoli naprawiać i po roku wyrównały się do tego stopnia, że Księżna zaczęła powracać do dawniejszego wyglądu. Wreszcie ustąpiło zupełnie to okropne przygnębienie, i od drugiego roku pożycia ustaliły się w małżeństwie stosunki jak najlepsze. W. Książę w zupełności został podbity spokojem, dobrocią i słodyczą swej żony i stał się wzorowym i najlepszym mężem, który przy każdej sposobności — czyto w listach do rodziny i przyjaciół, czyto w rozmowach z najbardziej nawet obcemi osobami — jak najdobitniej dawał wyraz swej

miłości dla żony i uznaniu dla jej cnót. Gdy chorowała, był nieodstępny przy jej łożu — i noce całe przepędzał przy niej, pilnując ognia na kominku. — A razu pewnego widziano go nawet, jak z naręczem drew skradał się rankiem do jej pokoju i sam palił w piecu, obawiając się, że niezgrabny palacz może ją ze snu obudzić.

I któżby się spodziewał, że ten brutalny żołdak z Saskiego dziedzińca przechowywał w specjalnej szkatułce najdroższe sercu swemu pamiątki z dnia ślubu!

Kochał ją więc istotnie miłością gorącą i najlepszymi drgnieniami swej duszy. Pod jej to biernym wpływem łagodniał powoli i ku końcowi swego pobytu w Warszawie stał się bardziej wyrozumiałym i jakgdyby życzliwszym krajowi i jego mieszkańcom. „*Voilà la Polonaise, qui m'a civilisé*” powiedział w Dreźnie pewnemu arystokracie francuskiemu, przedstawiając go żonie.

Rodzina jego, widząc, że Księżna ze wszech miar zasługuje na szacunek, wysoko ceniła ją i liczne jej tego dawała dowody. Cesarz i król Aleksander za każdego pobytu swego w Warszawie długie z nią i serdeczne miewał rozmowy i darzył prawdziwą przyjaźnią. Cesarzowa - matka, umierając, przekazała *à sa chère belle fille* drogocenną kolję; młodzi bracia męża z jak największym szacunkiem i życzliwością traktowali ją, a podczas koronacji Mikołaja I-go w Warszawie Joanna tuż za cesarsko - królewską postępuje parą, prowadząc za rękę następcę tronu Aleksandra.

Nie była więc nieszczęśliwą w pożyciu z mężem, ani też w stosunkach z jego rodziną. Trzeba to stwierdzić z całą stanowczością, albowiem w naszej literaturze tuła się wciąż zdanie, że Joanna Łowicka była męczennicą, tyranizowaną przez męża, ofiarą jego brutalności i swego położenia. Musimy temu zdaniu zaprzeczyć jak najbardziej kategorycznie. W galerji nieszczęśliwych kobiet ówczesnych — obok np. księżny Wirtemberskiej, cesarzowej Elżbiety, Elizy Radziwiłłówny i t. p. — niema miejsca dla Joanny Grudzińskiej.

Nie odczuwała ona też wyrzutów sumienia, jak chcą niektórzy, że wyszła za rosjanina. Nie dlatego, że była pozbawiona uczuć patriotycznych, ale że

wówczas, szczególnie w warstwach arystokratycznych, takie małżeństwa były bardzo częste i nie potępiano ich w tym stopniu, co w czasach późniejszych, powstaniowych.

Nie mogła też Księżna narzekać na złe stosunki między mężem, a jej rodziną. Konstanty z niezwykle szacunkiem traktował jej ojca, gdy ten — bardzo rzadko, coprawda, — bawił w Warszawie; matce jej okazywał należne względy i, jak mógł, popierał jej interesy; bardzo też był grzeczny dla jej sióstr i przyjaciółek.

Zaznaczyć jednak należy, że, oprócz matki, wszyscy członkowie jej rodziny — ojciec, siostry i szwagrowie — z prawdziwą godnością trzymali się zdala od tak wysoko postawionego jej męża i nigdy w niczem mu się nie narzucali, ani o nic nie prosili. Generał Dezydery Chłapowski zakazał nawet swej żonie przyjmowania od Księżny jakichkolwiek podarunków...

Ze swej strony księżna Łowicka w niczem się nie zmieniła dla rodziny. Korespondencję z siostrami, szczególnie z Chłapowską, utrzymywała bardzo żywą i dzieliła z nimi każdy smutek i każdą radość. Zachowała również serce dla dalszych krewnych i pamiętała o każdym, kto był jej życzliwy za czasów panięńskich.

Okazywała to im i życzliwym przyjęciem, gdy ją odwiedzali, i do brem słowem, gdy do nich pisała. Czynem jakimś jednak tego dowiedzieć nie mogła. W. Książę, kochając i pieścąc swą żonę, zupełnie wyraźnie, a nawet dość szorstko, zabraniał jej mieszać się do spraw publicznych; zresztą i sama nie miała do tego żadnej chęci. Rozumiała dobrze, że każde czynne wystąpienie z jej strony może tylko popsuć sprawę i zburzyć ten spokój domowy, z jakiego korzystała.

Zadawała się biernem tylko oddziaływaniem na swego męża, jak już zaznaczyliśmy wyżej, i w rezultacie w pewnym stopniu wpłynęła na niego i na jego stosunek do ludzi i do kraju. Niesłuszne są zarzuty, czynione Księżnie przez jej współczesnych, że nie umiała zrozumieć swego położenia i wyciągnąć z niego głębszych konsekwencji. Nam się zdaje, że, odwrotnie, dowiodła dużego zrozumienia sytuacji i że dobrze postępowała [tak, jak postępowała.

(d. c. n.)



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

4

KOSZULA DEJANIRY

(nowela)

A przecież oczy były wtedy tak samo spokojne i obojętne, tak samo znudzone, gdy rubryka „życia towarzyskiego“ odważyła się oznajmić mi o zaręczynach Romana.

Czy jest możliwy jakiś ratunek? Jaka i czyja może być litościwa łaska? Na drewnianych listwach podłogi? Na niebie, wyciętem w zygzaki przez góry, które przecież nie chcą o niczym wiedzieć?

Pytam i pytam. Pytam! Trzeba może wołać głośno: ratunku! Trzeba może przypomnieć jakies wyuczone, nakazane, a dotąd niepotrzebne jeszcze mądrości.

A tymczasem trzymam w ręku wiadomość, jak twardy kamyczek, i chcę go rzucić precz, a nie mogę. Zrósł się z garścią nazawsze.

Boże wielki, Boże mocny—daj mi zdrowie, daj już dziś. Daj choćby jutro, daj za tydzień! Niech mogę spojrzeć w jego oczy, niech mu ośmielą się powiedzieć usta. Boże wielki, Boże...“

Ah, tak to, tak otwierają się ślepe uliczki? A mimo to można jeszcze mniej wiedzieć, można ugrząść nieporadnemi myślami, jak w topieli. Zofja odczuwała pałacy wstyd niewiedzy. Poza jej płomiennem narzeczeństwem działały przecież te smętne sprawy, rosnące na uboczu, wistocie gdzieś poza górami i lasami. I nie znalazły się wówczas żadne słowa, któreby chciały objawić istniejące jeszcze związki myśli, czy też nikłych bodaj wspomnień! Więc nurtowały pocichu, jak tajemna zgrzyzota? Więc może były naprawdę doszczętnie zapomniane?

Jakże trudno teraz zestawić i wyjaśnić sobie tę grę cieniów! Niema już Romana, aby go zapytać twarzą mową obrażonej dumy. Niema Heleny, aby jej przeciwstawić okrucieństwo triumfu. Pocóż więc unosi się żywy gniew i sprzęga się w zdania, które domagają się natarczywie jakiegobądź wyjaśnienia, jakiejś naprawy popełnionych win?

Zofja patrzy na obce pismo i myśli: „Co jeszcze opowie z bezwzględną szczerością? Jak jeszcze, jak mocniej uderzą ostre szpady liter?“

„...Niema już sąsiada z prawej strony. Zatrzymują go w pokoju wraz z jego tęsknotą za meczem,

footballlem i inną lekkoatletyką. Leżę teraz sama i słyszę tylko rozmaity kaszel niewidocznych sąsiadów z innych werand. Leżę i przewlekam swoje smutne myśli po drewnianym, koronkowym okapie.

Wiem, że mi nic już nie pomoże w walce ze Straszmem i Bliskiem. Trzeba mu spojrzeć śmiało w twarz. Usiłuję rozmawiać z nim spokojnie, gdyż, zdawałoby się, że mam mu tak wiele do powiedzenia. Ale źle jest, że to, co mówię, staje się wypominaniem i uzalaniem się. I dlatego właśnie nie mam ani słuszności, ani prawa.

Czasem myślę groźnie: Pięć lat miłości i można tak prędko, tak rozrzutnie zapomnieć!

Czasem myślę z nienawiścią: Można kopnąć i wyrzucić za drzwi!

Nie, to nie tak było! Kłamię. Nikt nie wyrzucił za drzwi. Klamkę ujęłam własną ręką, niemal z własnej nieprzymuszonej woli. Rzeczy pakowałam sama z dobrym namysłem nad każdym drobiazgiem. Wielkie kufry napełniły się i były zadowolone z perspektywy na nowy wjazd. A na dworcu powiedział mi Roman:—Wróćis zddrowa!—Powiedział mi:—Nie żałuj sobie niczego, pieniądze przekażę przez bank! — A we mnie samej był pośpiech odjazdu i stłumiony okrzyk kaszlu i wieczna pamięć usłyszanych, nieostrożnych słów lekarza: „Otwarta gruźlica! Prawie niema nadziei!“

I teraz chcę zawiele. Chcę, żeby rozpaczał, żeby umierał ze mną. Nie, nie mam ani słuszności, ani prawa.

* * *

Napisałam list. Nierozsądny, sztuczny, zakłamany. I, oczywiście, podarłam go. Zawsze mi mówili, że umiem dobrze, rozumnie, a nawet pięknie pisać. Ale taki list, który nie mówi prawdy, jest, jak oszpecający grymas. Bo przecież nie chcę, za nic nie chcę, żeby teraz przyjechał! Trzeba prędko wyzdrowieć. Nie kaszleć. Nie pluć. Nie oblewać się potem. Trzeba mieć znowu okrągłe, twarde piersi. Gładkie ramiona. Pełne, owalne policzki.

Powiedziałam mu: „Przysięgnij, że przyjedziesz dopiero wtedy, gdy cię sama wezwę“.

Nie mogę więc tego uczynić dziś, kiedy czerwone cegielki pieczętują na zapadłych policzkach wstyd mojej brzydoty.

Tymczasem, zapominająca o rzeczywistości tęsknota błąka się po latach naszej miłości. Odwiedza znowu pierwsze dni i jest zawsze pełna zdumienia. Powtarza sobie cud po cudzie. Mówi: — „Na całym świecie nie było nikogo, tylko Roman“! „Na całym świecie niema i nie będzie nikogo, tylko Roman“! — Ale to są nic nie warte słowa. Bo ktoś potrafi wypowiedzieć, jak było i jak jest naprawdę! Trzebaby umieć odrazu zebrać wszystko od nieba do ziemi. Trzebaby dzień pomieszać z nocą i siebie rozsypać wszędzie.

I mieć siłę wszechmocną, aby to wszystko znieść...

Ale już jedno choćby przypomnienie Romana staje się wysoką wymierzonym ciosem, gruchocącym słabe kości na miał. Wtedy przestaje się istnieć. Tylko ból żyje, skowyczy, jak pies. Nędza wlecze się nisko i podle. Ma pełne usta kurzu, błota, piasku. Dusi się i charcze: umieram...

Umieram, aby już nic nie słyszeć, nie widzieć, nie pamiętać...

* * *

Termometr przestał jednak kapryścić i stanął na szczeblu 37,2. Lekarz pochwalił: „No, głowa do góry!“ A ja uśmiechnęłam się i poczułam, jak pęka zaschnięty naskórek warg.

Czytam dużo. Czytam byle co. Obcość treści tych książek układa się, niby gruba warstwa, i jest, jak skorupa wapienna na ranach płuc. Zasklepia, opatula. Dzieją się więc dalekie sprawy książkowe. Jacyś ludzie cierpią i weselą się. Ktoś jest okrutny, ktoś zanadto dobry i miękki. Czyjaś krzywda jest największa, najgłośniej wołająca o pomstę do nieba. Daję jej chętnie moją jałmużnę litości i płaczę nad nią.

Powiew wiatru zmiękł. Pewnie w dolinie zapowiada się już wiosna. Kiedy wyjeżdżałam w jesieni, przyrzekłam: „Wrócę na wiosnę!“

Ale teraz rozumiem, dlaczego wszystko idzie tak powoli: Nikt tam przecież nie czeka na mnie. Nikt nie czeka mojego powrotu i wyzdrowienia. Gdyby Roman pragnął tego tak samo, jak ja, byłabym już zdrowa, u niego w Warszawie. Sama jedna nie umiem

zwalczyć choroby. Sama jedna! I dlatego trudno mi dziś zrozumieć i wybaczyć. To moja krzywda jest największa i najgłośniej przeklina.

* * *

Od kilku dni przychodzi do mnie na werandę stara cyganka. Pierwszy raz zjawiła się nagle, jakby wyrosła z pod ziemi. Zastoniła mi góry czerwoną kopułką chusty, porysowała Giewont promieniami grubych, twardych i jak popiół brudnych włosów. Buchasty dzwon spódnicy wtargnął zuchwale aż na skraj leżaka. I wtedy dopiero zobaczyłam dokładnie twarz, powleczone brązową skórą, świecąca, jak zleżale dzikie gruszki. Policzki obwisłe, jak śnieg, opadający z dachu po odwilży. Czarne, młode oczy, tkwiące w zwiędłych torebkach powiek, sięgnęły po mnie, ni by dwa dzioby, i przytrzymały zdrewniałą w posłuszeństwie. Wydłużony nos powęszył i zaświstał długim oddechem, przesiąkniętym kwasem tabaki i dymem fajczanym. Sino-czarne szmateczki warg wygniotły lepkie: „Nie lekajcie się“, a żółty samotny ząb zachwiał się niebezpiecznie na ciemnym tle jamy ustnej.

— Dajcie powróżyć! mam karteczki cygańskie, wszystko powiem. Co było, a nie jest. Co będzie, a jeszcze go niema. Za złotoweczkę, paniuńciu.

Mój zadyszany sprzeciw na nic się nie zdał. Nie mógł sprostać deklamatorskiej wymowie.

— Stara cyganka, z węgierskiej strony przyszłam. Do ciebie, prosto do ciebie. Ziemia wielka, a cierpienia bliskie. Powróżę, pomogę, rozpowiem dobrze i z sercem. O zdrowiu na liczku białem. O kochaniu, które wyciekło, jak woda z sita.

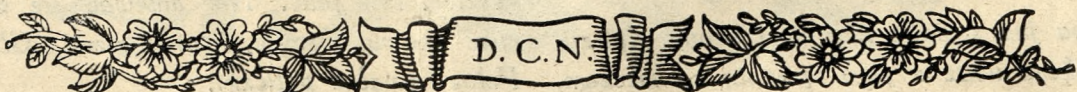
Klekot jej gardłowego głosu bił we mnie, jak trzepaczką. Ogłuszał przemocą. Rzędy brudnych kart leżały już pokotem na pledzie i ręka sięgała po szare garsteczki według nakazanego rytuału: ku sercu.

— Brunetka przy nim. Odwrócił się od ciebie. Szczęście leci mu ptaszkiem do rąk. Koło ciebie czarny smutek. Sama jesteś na świecie. Sama się ze śmiercią mocujesz na pięści. Weź jeszcze trzy razy lewą ręką.

Jedno, drugie, trzecie uderzenie noża...

— Nie chce, słyszysz, nie chce!

— Wszystko trzeba wiedzieć. Słowo prawdy jest wierne. Posłuchaj, poradzi, jak przyjaciel najlepszy. Pomści, jak wróg.



W. MIŁASZEWSKA

16

KACZĘTA

(powieść)

Mój Boże, mój Boże... Pobiegłam do swojego pokoju i dziękowałam Panu Jezusowi, dziękowałam Antolce, że Marek zdrowszy. Dopiero od tej choroby zrozumiałam, jak ja go kocham, i że ani Tomek, ani Adelka, ani nawet Staś nie są mi tacy drodzy, jak on. Aż mi dziwne powiedzieć, aż mi się dziwnie przyznać, ale te dwa tygodnie Marka choroby, to był dla mnie jakiś cudny sen. Jaki to człowiek jest ułomny! Musiałam gwałt sobie zadawać, by nie dziękować Bogu, że na Marka chorobę zesłał... A to przecież w głowie się nie mieści...

Wszystko dlatego, żeśmy się przez ten czas żyli z Markiem, zupełnie, jak za dawnych lat. Teraz już zdrowszy, siedzi na łóżku i całe godziny rysuje sobie, ale przedtem, a zwłaszcza, gdy minęła ta pierwsza gorączka, to się chwili bezemnie obejść nie mógł. Strasznie się rozkaprysił, rozpuścił się na nic... Taki się zrobił, jakby mu z dziesięć lat ubyło... zupełnie dawny Mareczek!

Ciągle do mnie: „a ciociu to, a ciociu tamto“... ciągle się czegoś napierał i musiałam perswadować, jak małemu dziecku.

Albo znowu opowiadał mi, jak dawniej, co to on robi.

— Najpierw, ciociu, jak wyzdrowieję, zapiszę się na lekcje rysunków. Ojciec nie będzie już chyba broził, co, ciociu?

— Pewnie... chyba, że nie... — mówiłam, żeby go nie rozdrażniać. A on wtedy:

— Przecież do szkoły i tak już chodzić nie warto! Tyle opuściłem, tyle jeszcze opuszczę... Kiedybym dogonił, prawda, ciociu?

— Prawda, Mareczku.

Ale zaraz dodałam:

— Chociaż, gdybyś tylko chciał, tobyś kolegów dogonił, Marku, ba, nawet ich prześcignął.

— E, ja bo wcale nie chcę! — skrzywił się na to. — Nie chcę! Dość mam szkoły. Ze mnie nie będzie nigdy żaden kupiec, ani inżynier, jak chce ojciec. Ja mogę zostać tylko malarzem, albo...

Tu się zaciął, a potem powiedział cicho, ale strasznie stanowczo:

— Albo umrę.

Nie lubię, jak Marek takie rzeczy wyplata. Zawsze mi mróz po kościach przelatuje i prawie złość mam do Antolki, że taka smutna z Markiem chodziła. Przez to Marek taki sensat.

Ależ mu to malarstwo w głowę zajechało! Nic i nic, tylko o jednym w kółko rozprawia. Dobrze, że Teofil i połowy tego nie słyszy, boby się chyba

wściekł. Teofil tak przez Marka malarzy znienawidził, że jak mu Adelcia przypominała, żeby jednemu panu, co był u nas, wizytę oddał, to krzyczał na cały dom:

— Nie pójdę! Nie pójdę!

— Ależ, papo... on się obrazi i już więcej do nas nie przyjdzie! — chodziła za Teofilem Adelcia, przekładając.

— To niech! Właśnie mi na rękę! Artysty tu niepotrzebni! Dość mam i tak z tym gamoniem zmartwienia!

Gamoń, to niby Marek.

Teraz Teofil trochę zmiękł, bo się skądś dowiedział, że ten pan, to jest znany malarz i duże pieniądze swojemi obrazami zarabia. Wizytę mu złożył, a jakże, i jeszcze do nas na niedzielę zaprosił — tylko że właśnie Marka choroba wypadła.

Adelcia w Kopytowie kwarantannę z powodu Marka odprawia. A zła była! Nawet żal mam do niej o to, bo trzeba chyba nie mieć serca, żeby w takiej chwili o sobie i o swoich przyjemnościach myśleć.

Marek leży bez przytomności, doktor głową kiwa, a ona do mnie, jakby z pretensją w głosie:

— Też się Marek wybrał z chorowaniem! I jeszcze cały dom zapowietrzony, przez parę tygodni ani kogo przyjąć, nim się dezynfekcję zrobi!

Jak się doktor dowiedział, że Adelka dyfterytu nie miała, zaraz ją kazał z domu wyprowadzić.

Z początku uparła się, że do Tomka mieszkania pojedzie. Próżno przekładałam, tłumaczyłam, że nie wypada, że Tomek po kawalersku mieszka. Adelcia nic.

— To mój brat — powiada — więc żadnej nieprzyzwoitości niema.

Przyszedł na to Teofil z Tomkiem i byłoby na Adelcinem stanęło, jak zawsze, tylko że Tomek sprawę przeciął odrazu:

— U mnie mieszkać nie będziesz.

— A dlaczego?

— Dlatego — że... Zresztą, ja dużo interesantów przyjmuję, moje mieszkanie ma niewygodny rozkład. Słowem nie — i koniec.

Dopiero Adelcia w złość. Prawie się z pięściami na Tomka rzuciła:

— Ty taki! Ty owaki! Ty nieużytku!

Posypały się przewiska, wymysły; w końcu rozpłakała się, rzuciła na krzesło i aż nogami tupała z rozżalenia.

— Jędza! — dogadywał Tomek — histeryczka!

Z godzinę trwała ta awantura, nim się Adelcia uspokoila i do rozsądku doszła. A Marek przez ten

czas leżał nieprzytomny, w gorączce, i ani się domyślał, jak siostruni swojej plany pokrzyżował.

Rano pojechała Adelcia do Kopytowa. Staś ją odwiózł. Nadąsana była jeszcze i na Tomka śmiertelnie obrażona, ale już widać jaśniejsze strony tego medalu odkryła, bo żegnała się ze mną dość mile i jeszcze polecenia dawała:

— A jak listy jakie będą, to niech mi ciocia do Kopytowa przez okazję odeśle!

Dopiero sobie przypomniała od progu:

— I o zdrowiu Marka niech ciocia napisze, moja ciociu.

Pewnie, że ona Marka kocha po swojemu, ale już nikogo chyba tak, jak siebie. Może i słusznie powiedział Tomek, że z Adelci straszna egoistka.

Tomek się bardzo pocziwie zachował. Najpierw po doktora latał na miasto, a później dzień w dzień dowiadywał się, jak tam Markowi.

Tak mię za serce ujął, że już mu tę Janinkę prawie wybaczyłam i różne inne jego sprawy.

Przychodzi i teraz, chociaż obiady od choroby Marka na mieście jada. Rozmawiamy przez próg, bo Tomek do mieszkania nie wchodzi, żeby zarazy nie przenosić:

— No, jakże ci tam, Tomeczku — pytam — obiady w garkuchni smakują?

— Ii... Ciocia lepiej daje jeść! — roześmiał się. — Jak się będę żenił, to muszę przed ślubem żonę wyexaminować, czy dobrze się zna na kuchni.

Swojej Janinki to pewnie o to nie pytał, ale też ani mu w głowie ożenić się z nią. I chwała Bogu — i zarazem przykro jakoś. A Tomek wesoły, w świetnym humorze, jak gdyby nigdy nic. Ciągłe dowcipkuje, ręce zaciera, Teofila po ramieniu klepie i mówi:

— Cóż, papo? Tomek główkę na karku ma? he?

Nie podoba mi się taka konfidencja z ojcem. Niby oni teraz dwaj współnicy, ale zawsze...

25 października.

Marek już prawie dobrze. Wstaje na parę godzin z łóżka, ale taki osłabiony po chorobie, że chętnie do niego wraca. W tych dniach ma być dezynfekcja, a my się przeniesiemy na ten czas do obu salonów. Ot, i na co się przydało takie duże mieszkanie! Przynajmniej teraz widzę jakąś korzyść, bo przedtem pustką to stało, tylko dla gości. Najczęściej to jeszcze Adelcia w salonie przesiaduje, bo tam jest duże tremo, a ona lubi godzinki przed lustrem spędzać.

Żadnego listu do Adelci nie było, ale zato niedawno przyszedł jakiś wysoki drab, w wojskowym ubraniu. Uchyliłam tylko drzwi na łańcuchu i patrzę, a on mówi:

— Czy jest panna Ada?

— Kto?

— Panna Ada.

Myślę sobie: co to znowu? Udaję jednak, że nic nie rozumiem i pytam:

— Kto taki?

— Czy tu mieszka panna Ada Łebkowska?

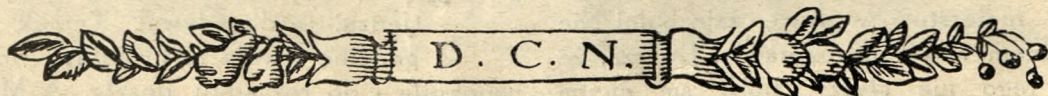
— Panna Łebkowska tu mieszka, ale jej niema w Warszawie — odparłam i trzask mu drzwi przed nosem.

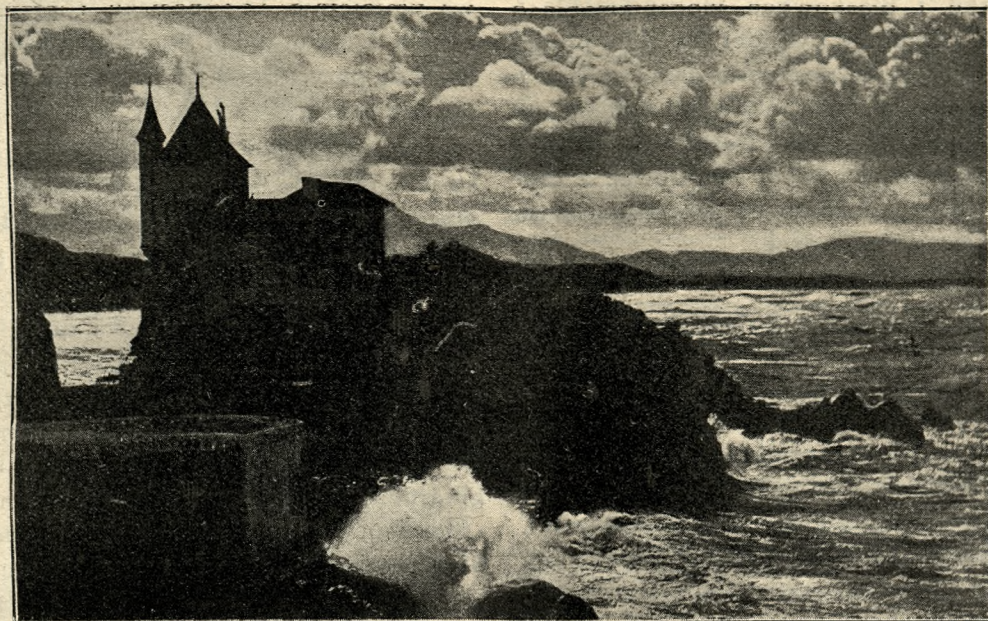
Patrzcie, co za poufałość — i jeszcze jakaś Ada! Cóż to, Adelcia chrześcijańskiego imienia nie nosi, żeby ją wołać, jak papugę! Ada! Ada!

Ciekawam, co to za typ taki, i gdzie go Adelcia zdybała? Już to ona ma teraz tych znajomości! Ani się połapać nie mogę, tylko wiem, że za moich czasów nikt taki do domu nie wszedł, o kimby nie wiedziano, co za jeden, skąd pochodzi, czym się zajmuje. Teraz i na to inna moda. Tempora mutantur! wiem to z łaciny: niedarmo już trzeci rok Marek łacinę obkuwa. Dawniej taki pierwszy-lepszy poznany młody człowiek musiał się dobrze nagłowić, nakręcić, żeby do jakiego domu wstęp uzyskać.

Pamiętam, że jak pan Kazimierz się ze mną u koleżanki mojej zaznajomił, to chyba z miesiąc szukał sposobności, żeby mię odwiedzić. Nie miałam już wtedy rodziców i mieszkaliśmy u wujostwa z Antolką.

Antolka uczyła się jeszcze, a ja chodziłam do magazynu ciotki na cały ranek. Dopiero pan Kazimierz znalazł fortel. Przychodzi do magazynu raz — ciotki nie było. Kupił wiązanekę z różyczek polnych i poszedł. Przychodzi drugi raz, wybrał kilka bratków, porozmawiał ze mną. Przedstawiłam go ciotce. Dopiero przyszedł trzeci raz, czwarty, piąty. Dopiero ciotka zauważyła te wizyty — dopiero nuż wypytywać, kto taki — a czy go można do domu wprowadzić. Dobrze mówiłam, że sześć tygodni trwały te ceregiele, aż którejś niedzieli pan Kazimierz przyszedł z kolegą, a ciotka zatrzymała go na herbatę. Odtąd już stale przychodził... I potem, jak ciotka umarła, a ja objęłam magazyn, przychodził do nas, już jako dobry znajomy, przyjaciel... Wtedy się okazało, że ja posagu nie mam i że wujostwo, chociaż bezdziejni, nic dla mnie, ani dla Antolki nie zostawili, prócz mebli, które w połowie były jeszcze moich rodziców... Ja wiem, że pan Kazimierz nie na mój posąg jedynie liczył, jak sądziły złe ludzkie języki. Miał on do mnie przywiązanie prawdziwe i długo jeszcze walczył ze sobą, długo potem do nas przychodził, jeszcze częściej, prawie codziennie wpadał... Aż nareszcie przetłumaczył sobie, że takim małżeństwem karierę zwichni, a on był bardzo ambitny...





Biarritz — zamek

STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW

BAL U DOBREJ WRÓŻKI

Zakończenie sezonu w Biarritz. Korespondencja własna „Bluszczu”.

Całą noc wicher wyl, jak potępieniec, dmuchał podstępnie przez zamknięte żaluzje, dobijał się do drzwi, targał delikatne kędziory tamaryszków na wybrzeżu. A ocean poprostu się wściekł. Nawet przy szczelnie zamkniętych oknach słyhać było jego gniewny huk, podobny do podziemnego grzmotu, od którego trzęsły się skały i zamierało serce. A kiedy nastał ranek, z ołowianego nieba lunęły potoki deszczu. I z jego strugami spłynęła do morza moja ostatnia nadzieja na to, że zobaczę jeszcze w tym roku walki byków w San-Sebastjan.

Około południa ukazał się w zenicie skrawek czystego błękitu. Przeleciał szybko nad głową, jak szafirowy balonik, i pękł pod naporem wichru kaskadą modrych i perłowych smużek. Jaskrawe słońce pośpiesznie zalało plażę przed kasynem. I tam, gdzie przed chwilą szalała ulewa, rozsypał się pstry, niedzielny tłum, jak rój motyli, kąpiący się w sypkiem złocie piasku, w płynnym złocie słońca. Ale już z boku nadpływała, jak mątwą, atramentowa chmura, i kto żyw, chronił się pod rozczapierzone skrzydła kasyna, co jak kokosz troskliwa przysiadło u brzegu, garnąc pod swe rokokowe pierze rozpierzchłe pisklęta. U wejścia rojno od matek z wystrojonemi dziećmi: — od 4-ej do 6-ej bal dziecięcy. Pójdźmy zobaczyć, jak pląsają na tej międzynarodowej plaży najmłodsze lato-rośle, wyrosłe na pulsującym asfalcie Wielkich Bul-

warów, pod mglistym niebem Albjonu, na rozpalonych skałach Hiszpanji.

Tańce się jeszcze nie rozpoczęły. Na krzesłach pod ścianami zasiedli tancerze i tancerki, których opalone nóżki i nożyny, obute w płytkie pantofelki i skarpeteczki, wysoko bujają nad posadzką. Bal jest kostjumowy, i od razu rzuca się w oczy śliczna para białych pierrotów: jeden z ogromną krezą pomarańczową, drugi — z blado-złotą, jak dwie wielkie chryzantemy, wetknięte w pękate porcelanowe wazoniki, o błyszczącej, atlasowej polewie. Dwie błękitne tancerki, w klasycznych baletowych kostjumach, migają brązowymi łydkami z pod motyli spódniczek; jest jedno maleństwo w przebraniu różowej baletniczki z girlandą drobnych różyczek w jasnych kędziarach i w staniczku ze srebrnej lamy. Różana pomadka, zawinięta w cukiernicze sreberko.

Ogólną sympatję budzi maleńki, może półtoraroczny, tłuscioch, w kostjumie „dzikiego człowieka”. Tors i nóżki gołe. w pasie spódniczka z raffi żółtej i czerwonej, takąż opaska na główce; na pleckach, brązowych od opalenizny, imitacja tatuowania w pstrych kolorach. Maleństwo, prowadzone za rączkę przez mamusię, lub starsze rodzeństwo, defiluje po sali, niezgrabnie przebierając wałeczkami nówek, nawykłych do piasku plaży, a nie do śliskiej posadzki salonów. Grzmot oklasków wita stylową trójkę: dandys.

w fioletowym fraku i piaskowych ineksprymablach ze strzemiączkami, piaskowy cylinder na złoto-popielatych puklach — prowadzi pod rękę damę w budce „directoire“, w mitenkach, z koronkowym szalem, zarzucanym na ramiona. A obok fraszobliwie drepce dziewczynka w poziomkowej sukni empirowej, z długim „manteau de cour“, od ramienia spływającym do ziemi i wlokącym się po posadzce.

Za nimi para arlekinów w czarno-białą szachownicę; mały wojak, jak rak, w czerwonym mundurze, i portugalska wieśniaczka w autentycznym stroju ludowym.

Zawrzeszczał jazz-band, głuszając szum ulewy. Sala zmienia się w ruchliwą mozaikę pstrych szmatek. Pojedyncze pary drobnymi kroczkami wędzą się po lśniącym lustrze posadzki. Jakies dwie dziewczynki, pozujące na dorosłość, „charlestonują“ z przejęciem. Reszta celebrytuje z powagą jakiś uroczysty taniec. Dziecinna pustota wybucha jeno w chwili, gdy jakaś niezbyt wprawna para z łoskotem wali się na posadzkę.

Między dziećmi krążą dwa duchy opiekuńcze: pan i pani,—młodzi, przystojni, zgrabni; kierują zaba-

wą umiejętnie, bez nacisku i przymusu. Wyciągają z kąta kopciuszków, puszezają w wir tańca odludków, kojarzą pary. Na tym balu dziecięcym nikt nudzić się nie może.

Raptem nad jaskrawe płomyki jazz-bandu wystrzela, jak rafa, potężny huk: To piorun uderzył gdzieś w pobliżu. Ale któżby zwracał na taki drobny uwagę; gdy wokół obraca się zaczarowany krąg? Tylko mały dzikus z wrażenia mocno usiadł na posadzce. Muzyka gwałtownie atakuje marsza. Pan i pani łączą dzieci w dwa długie, połyskliwe węże. Wiją się po sali, poczem giną w głębi gmachu. Idźmy za nimi. Oto sala gry w „boule“, rodzaj nieruchomej rulety, po której krąży fatalna kulka. Stukają grabki krupjerów; z regularnością zegarowego mechanizmu padają słowa: „Messieurs, faites vds jeux“ — „Rien ne va plus“ — oczy błyszczą żądzą, hamowana chciwość kufczoła zaciska palce. A obok, za szybami lustrzanych drzwi, — ucztą niewiniątek: woda z sokiem koi pragnienie gardziełek, którym jeszcze inne żądze są nieznanne.

Podwieczorek skończony. Teraz najbardziej emocjonująca część programu: rozdawanie nagród. Olbrzymi stół piętrzy się stosem przeslicznych zabawek. Ku temu słońcu szczęśliwości obracają się słoneczniki wszystkich główek. Przy trzech stolikach sędziowskich zasiadły trzy „neutralne“ mamy. Nie mają pociech ukostjumowanych. Z powagą ferują wyroki. Pierwszą nagrodę dostaje stylowa trójka, drugą — rasowa tancerka. Małemuństwu przypada w udziale lalka tak wielka, że musi ją w pudle wlec po podłodze. Unieść nie zdoła.

Mały dzikus dostaje słonia na kółkach i uroczycie objeżdża na nim całą salę. Wojak w czerwonym mundurze triumfalnie odchodzi z dzieciną fuzją w rękę. Nieodzowny „czerwony kapturek“ w drewnianych sabotach, seledynowy maharadza w srebrzystym zawoju, marynarz, gondoljer, wieśniaczka portugalska — unoszą w objęciach skarby bezcenne, światło długich zimowych wieczorów.

Następuje rozdawanie upominków dzieciom nieukostjumowanym. Zwarty tłum cisnie się przy przydzielanym stole. Sala zamienia się w gwarny jarmark. Warczą bębny, świszczą piszczałki, terkoczą maszyny nakręcanych aeroplanów i samochodów, furkoczą żagle i flagi łódek, powiewają wstążki i kędziory lalek, suną poważnie egzotyczne zwierzęta. Zwolna sala pustoszeje.

W ciemnych pudłach aut toną pierrotki i bajadery; za oknami szumi ulewa i ryczy ocean pasczą z ołowiu, a w sąsiedniej sali stukają grabki krupjerów, szeleszczą banknoty i z sykiem przelewa się krew w pulsujących żądzą skroniach.

Za dwadzieścia lat te same niewiniątka, które dziś koily pragnienie różanym syropem, przyjdą tu po inne wzruszenia. Rzucac będą stówki na zielone sukno hazardu z tą samą gorączką oczekiwania i chorobliwej ciekawości, która przed chwilą nurtowała je





podświadomie, gdy cudna lalka mrugała kusząco z pod miedzianych kędziorów, a biały słoń kiwał tajemniczo papierową trąbą.

I wówczas tak samo, jak dziś, będzie huczał ocean, plując białą pianą na brudno-bursztynowe skały, i tak samo, jak dziś, nikt go nie będzie słuchał w tym domu wesela, beztroski, jazz-bandu, radości bez jutra, gorączki bez płomienia.

Na niebo i morze, które nie śpi nigdy, spada czarna zasłona nocy. Latarnia morska rozpruwa ją bez szelestu ostremi nożami reflektorów. Sezon skończony.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

STYPENDJUM MIĘDZYNARODOWE DLA KOBIET
PRACUJĄCYCH NA POLU NAUKOWYM

Międzynarodowa Federacja kobiet z wyższym wykształceniem, pragnąc ułatwić studia kobiet, pracujących naukowo, zabiega od pewnego czasu nad gromadzeniem wielkiego funduszu stypendjalnego, który zamierza doprowadzić do sumy miliona dolarów.

Z funduszu tego corocznie mają być wypłacane stypendja naukowe dla członkiń Federacji.

W roku bieżącym Federacja ogłasza stypendjum w wysokości 250 funtów szterlingów dla członkini jakiegokolwiek stowarzyszenia kobiecego, wchodzącego w skład Federacji, na ułatwienie studjów naukowych z dziedziny przyrody, fizyki, lub matematyki, prowadzonych poza krajem ojczystym. Polskie Stowarzyszenie kobiet z wyższym wykształceniem, pozostające w związku z Federacją międzynarodową, ogłasza warunki, uprawniające do starania się o powyższe stypendjum.

Ubiegać się o nie mogą członkinie wyżej wymienionego Stowarzyszenia, liczące nie więcej nad lat 30, mogące wykazać, swoje dotychczasowe samodzielne prace naukowe, oraz pociągający plan studjów zamierzonych.

Podania będą przyjmowane do 15 grudnia r. b. przez sekretarkę Stowarzyszenia polskiego kobiet z wyższym wykształceniem p. dr. Helenę Więckowską, Klonowa 14, tel. 80-39. R. C. H.

NAD MODRYM DUNAJEM

Paryski „Intransigeant“ w jednym ze swych ostatnich numerów drukuje impresję znanego publicysty René Bizet p. t. „Wiedni“.

W królestwie wdzięku i elegancji — powiada Bizet, — wiedeńska jest jedyną rywalką paryżanki, a reputacja, jaką się cieszy, zdaje się być dobrze zasłużoną.

Wiedeń i Paryż są to jedyne miasta na świecie, gdzie spotyka się dziewczęta z ludu, ubrane skromnie, ale z takim szykiem, że mimowolnie musisz się obejrzeć za niemi.

Niemal wszystkie wiedeńki mają obcięte włosy; często jednak daje się tu widzieć włosy nieco dłuższe, ułożone w loki, co dodaje twarzyczkom wiedeńek pewnego romantycznego wdzięku. Na ulicy noszone są kapelusze niemal wyłącznie jednego typu „cloche“, lub „éteignoir“.

Co uderza paryżanina, nawet przyzwyczajonego do różnych ekstrawagancj mody kobiecej, — to wiedeńskie krótkie spódniczki. Są one jeszcze krótsze, niż w Paryżu, i sięgają zaledwie do kolan. Dlatego wiedeńska jest skrępowana przy nachylaniu się, czy przy krzyżowaniu nóg w tramwaju. Chyba niema na świecie drugiego miasta, w któreby widziało się tyle kobiet, walczących podczas wiastru z własną spódniczką. Pod względem krótkości ubierania się wszystkie kobiety w Wiedniu naśladowują już nie młode dziewczęta, ale małe dziewczynki.

Oczywiście, krótka sukienka wymaga noszenia tylko jedwabnych pończoch. Obuwie tutejszych kobiet zwraca uwagę swoją wydłużoną formą. Czyżby wiedeńki miały duże stopy? Jest to możliwe, gdyż na ogół wzięwszy, posiadają one solidną budowę. Nie widzi się tutaj małych stworzonek, szczupłych i drobnych. Wiedeńki nie są zbyt tęgie, nie poddają się jednak torturom, aby być płaską, jak karaska.

Jeżeli sędzić podług okien wystawowych, Wiedeń pod względem mody nie idzie ślepo za Paryżem. Nie widzi się tu, podobnie jak w Hiszpanji, Włoszech, czy Niemczech reklam, zapewniających, że wystawione modele pochodzą z Paryża. Wiedeń posiada swój własny „genre“ i własny szyk.

W paryskich kawiarniach widuje się mało samotnych kobiet. Są to przeważnie cudzoziemki, lub niedwuznaczne „kótkotki“. Natomiast w Wiedniu, w tem klasycznym mieście przemysłowych kawiarni, szczególnie w godzinach popołudniowych, we wszystkich „cafés“ widuje się mnóstwo pań, czytających gazety, palących papierosy, lub przybyłych tu na chwilę odpoczynku między zakupami.

Dla paryżanina, przywykłego do ciemnowłosych kobiet, uroczą niespodzianką są słoneczne włosy wiedeńek. Chyba miasto to jest ostatnie, gdzie znaleźć można tyle naturalnych odcieni włosów blond. Te jasno-złote i popielate pukle, przy błękitnych oczach kobiecych, są prawdziwą ozdobą i uśmiechem tego pięknego miasta.

Przytaczając powyżej wrażenia pana René Bizet z Wiednia, pozostaje nam tylko żałować, że pan Bizet nie był jeszcze nigdy gościem... Warszawy. R. C. H.

KOBIETA PRZEWODNICZKĄ WŚRÓD SZCZEPÓW INDIAN

Niezmiernie oryginalny zawód obrała sobie miss Erna Ferguson, córka emigranta ze Stanów Północnych, zamieszkałego obecnie w Nowym Meksyku.

Miss Ferguson została przewodniczką do miejscowości, zamieszkałych przez Indian.

Zapewne, wymierający czerwonoskórzy amerykańscy nie są dziś tem, czem byli w czasach powieści Mayne-Reida, ale do dziś dnia nie lubią oni „białych twarzy“, zwłaszcza tych, które przychodzą zaglądać do ich osiedli.

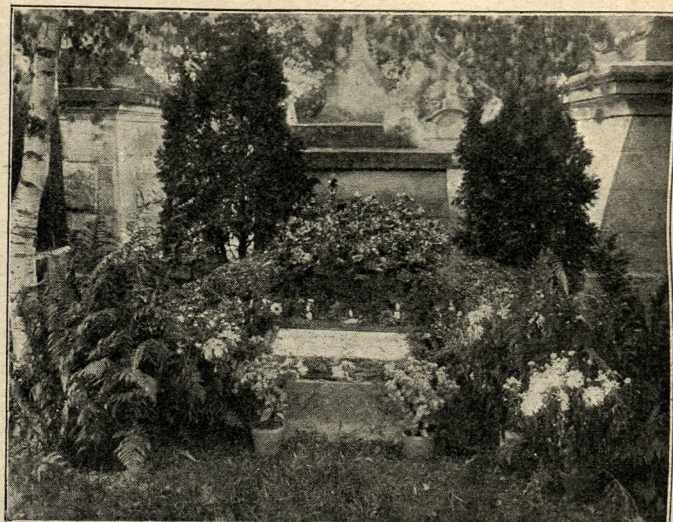
A właśnie teraz wycieczki te stały się bardzo częste — z jednej strony nastąpiła taka „moda“, z drugiej — nauka interesuje się coraz więcej tą zanikającą rasą i pragnie zbadać jej obyczaje i właściwości.

W Nowym Meksyku żyje kilka szczepów bardzo ciekawych. Jeden z nich, zwany „Peco“, żyje w odludnych pustkach wśród gór. Tam właśnie wszędzie dotarła dzielna pionierka-przyrodniczka. Spędzała w wioskach indjan długie tygodnie, poznała dokładnie okolice, drogi, wszystkie warunki podróży i pobytu. Sama pracowała kilka lat, jako przewodniczka, a obecnie zorganizowała cały kurs, złożony z 24 kobiet, które wstępują w jej ślady.

Dziewczęta te wysłuchały w Sante-Fe kilkumiesięcznych wykładów historii indjan, geografji i geologii zamieszkałych przez nie miejscowości i odbyły praktykę pod przewodnictwem swej nauczycielki. Na zapytanie, dlaczego uważa ten właśnie rodzaj pracy za odpowiedni — odpowiedziała miss Ferguson, że w podróży najwięcej potrzebny jest ktoś, co myśli o wszystkich drobiazgach, o tem, aby, np. wśród pustki umieć orzeźwić zmęczonych szklanką kawy, lub herbaty, której przewodnik — mężczyzna napewno zapomniałby zabrać w termosie; aby objaśnienia udzielać nie tonem mechanicznej, monotonnej litanji, lecz z prawdziwą umiejętnością i zapałem; aby, wreszcie, do chat indyjskich wchodzić z dobrem słowem, i wzamian za ich zwiedzenie przynosić nie wódkę i tytoń, ale potrzebne lekarstwa, narzędzia gospodarcze, książki i kulturę. Do tego powołana jest właśnie kobieta!

Lepiej nie wspominać, jaką kulturę przynieśli indjanom amerykańskie mężczyźni — może istotnie kobiety zapoczątkują inną. Faktem jest, że miss Ferguson jest uwielbiana przez wszystkie szczepy, wśród których przebywa. — Obdarzona ją przydomkiem „Sikawayrinu“ — dzielnego lisa — jedną z bardzo zaszczytnych nazw u Peców.

N. J



Grób Konopnickiej

W SPRAWIE POMNIKA MARJI KONOPNICKIEJ

Z racji 17-ej rocznicy śmierci poetki, dnia 7-ego b. m., odbyło się we Lwowie posiedzenie Komitetu budowy pomnika. Akcja budowy, której dotychczas liczne okoliczności stały na przeszkodzie, rozwinie się w najbliższym czasie z większą intensywnością. W związku z tem do komitetu budowy wejdą nowi członkowie — dawniej bowiem prezesem był s. p. Jan Kasprówic, a wicepresem p. Tomicka — zamieszkała obecnie w Krakowie. Konieczność rozpoczęcia energiczniejszych kroków na drodze zbierania funduszu usprawiedliwiona jest faktem dewaluacji dotychczas zebranych sum, złożonych przed wojną w Banku Gosp. Krajowego. Nie wątpimy, iż komitet dołoży wszelkich starań do godnego uczczenia pamięci wielkiej poetki.

W B.

PIERWSZE KOBIETY NA SPADOCHRONIE

Dzisiaj, gdy cały świat interesuje się lotnikami, podziwiając ich zręczność i odwagę, równą męskiej, i oddając hołd pamięci ofiar, które złożyły życie w ofierze swemu zawodowi, jak miss Doran i ks. Loewenstein, — należy też przypomnieć imiona kobiet, które pierwsze przed stu laty wznosiły się pod obłoki, wykonywując próby, równie niebezpieczne, jak dzisiejsze loty. Te dwie kobiety — matka i córka, Anna i Eliza Garnerin, — towarzyszyły mężowi i ojcu dr. Joachimowi Garnerin, wynalazcy spadochronu.

Dr. Joachim Garnerin zbudował swój aparat podług przepisu konstrukcyjnego Leonarda Da Vinci i w dniu 22 października 1797 r. wykonał z nim pierwszą próbę w parku Monceau pod Paryżem, wzniosłszy się na wysokość 3650 metrów i wylądowawszy szczęśliwie; poczem pracował dalej nad udoskonaleniem swego wynalazku. W próbach tych dopomagała mu żona, Anna Garnerin, która wielokrotnie spuszczała się spadochronem męża. W r. 1807 16-letnia wówczas Eliza Garnerin, córka wynalazcy, dokonała pierwszy raz podróży napowietrznej, a w ciągu czterech lat następnym powtarzała te doświadczenia przeszło 50 razy, wzbudzając ogólny podziw swą odwagą.

Pewnego razu Eliza Garnerin popisywała się w Turynie w obecności króla Karola Sabaudzkiego, cesarzowej Anny austriackiej i całego piemonckiego dworu. Dzielna lotniczka wzniosła się na 1000 metrów, gdy silny wiatr porwał aparat, niosąc go nad miasto; po dłuższej chwili jednak udało się pannie Garnerin wylądować szczęśliwie, tuż przed wzniesieniem, na którym zasiadał król, który gorąco winał jej sukcesu.

W r. 1840 Eliza Garnerin wyemigrowała do Ameryki i odtąd dalsze jej losy są zupełnie nieznanne. Prawdopodobnie, pomimo dość późnego już wówczas wieku, wyszła tam za mąż i zaprzętała swych niebezpiecznych eksperymentów. Gdyby bowiem była latała dalej, wieści te doszłyby do Europy, gdyż w tym czasie Eliza Garnerin była sławą, której imię rozbrzmiewało szeroko. Z czasem zapomniano o niej zupełnie i dopiero ostatnie próby ze spadochronami wywołały z niepamięci nazwisko pierwszego wynalazcy, a także jego pełnych poświęcenia, bohaterskich współpracowniczek, — żony i córki.

N. J.



W ostatnim numerze wspominaliśmy o Sicele O'Brien — drugiej z rzędu kobiecie, która zdobyła prawo kierowania samolotem handlowym i przewożenia pasażerów. Ilustracja nasza przedstawia dzielną lotniczkę przy swoim aparacie.

COŚ NIECOŚ O GENTELMENNACH WARSZAWSKICH I ANGLOSASKICH

Północny purytanin, zawsze zresztą trzeźwy i idący z postępem czasu, zorientował się pierwszy (i zdaje się, nieomylnie), jak ma postępować ze swą wycieczką, dzielną i samodzielną towarzyszką życia, aby pozyskać jej względy i szacunek w tych ciężkich latach XX stulecia.

Nietylko bowiem pogodził się, że weszła do jego warsztatu pracy zarobkowej i zajęła niemniej odpowiedzialny posterunek; nietylko stanął z nią do „walki” jak z równą, na wszystkich prawie terenach sportowych; ale sam z własnej, nieprzymuszonej woli wszedł do jej małego domku, wypełnionego po brzegi obowiązkami gospodarzami.

Wojna europejska nie sięgnęła niszczycielską dłońią do wnętrza home'u angielskiego, nie było tu żadnej (od czasów rzymskich) inwazji nieprzyjacielskiej, ani cudzej gospodarki, — a jednak katastrofa wszechświatowa wyrwała i tu niejedną porządek z zawiązków, pomieszała szyki i wytworzyła zamęt.

Nigdzie też chyba po wojnie, exodus ludności ze wsi i miasteczek do miast przemysłowych, — szczególnie exodus kobiet — nie zaznacza się tak silnie, jak w Anglii.

Dziewczęta i młode kobiety, zmuszone podczas lat wojny pracować, jako szoferki, konduktorki, dozorki, czy policjantki — nie chcą już wracać do monotonnej, mniej odpowiedzialnej pracy — służby domowej.

Pomimo uregulowanych warunków wynajmu, pomimo wysokiej dopłaty i wszelkich wygód — te, które zamają nie wyszły, lub mężów potraciły, ciągną tłumnie do fabryk, magazynów, warsztatów.

Takie kolos-miasto, jakim jest Londyn, który już dziś mieści w swych murach przeszło 7.000.000 mieszkańców, chętnie posługuje się pracą kobiet, bardziej obowiązkowych, no i, oczywiście, mniej płatnych.

Nie licząc całej armii ekspedjentek, modniarek, żywych manekinów — wszystkie prawie restauracje, cukiernie, windy w wielkich magazynach londyńskich są obsługiwane tylko przez personel żeński. To też nigdzie chyba na Zachodzie nie wybuchł taki ostry kryzys ze służbą — jak w państwie Brytyjskim. Coraz mniej, coraz trudniej o służbę żeńską i nic na to poradzić nie można. Jeszcze dziś można zgodzić wykwalifikowane przychodnie, które werbują się z kobiet zamężnych, mających dzieci dorosłe — ale żadna z nich nie pozostanie dłużej w domu chlebobawców, jak do godziny 2—3-ej pp., a obiad tradycyjny, według przepisów, musi być o godzinie 8 wiecz. i tylko o tej godzinie. Lady znalazła się naraz w sytuacji, bez przesady, krytycznej.

Trudno przecież z powodu tej nagłej i jeszcze jednej klęski powojennej zaprzestać żyć po angielsku: skasować odwieczne tradycje, zrzec się umiłowanych sportów, nie przyjmować co sobotę kochanych przyjaciół na week-end, albo, co gorsze, gnieździć się naraz w paru pokoikach, kiedy najskromniejsze mieszkanie angielskie posiada sypialnię na piętrze, jadalnię i salonik na parterze, a kuchnię w suterrenach.

Przed wojną przeciętnie skromna rodzina posiadała dwie służące, nurse do dzieci i jeszcze taką przy-

chodnią kobietę co piątki, która czyściła srebra i dywany.

Angielka zabrała się sama do pracy, od wczesnego ranka — do późnego wieczora. I oto bez żadnych tam przedwstępnych „humorków”, gentlemen po powrocie z biura do domu, zdjął marynarkę, zakasał rękawy nieskazitelnie białej (nigdy w domu nie „pierranej”) koszuli i z nieodstępną fajką w ustach — pojawił się naraz nad patelnią; w pokoju kąpielowym z gąbką do czyszczenia wanny; w hallu — z odkurzaczem elektrycznym. Zwalił na swe mocne barki najcięższą, najczarniejszą robotę. Co więcej — biorąc zapewne pod uwagę przysłowie mędrców starożytnych: „dobry humor jest solą życia” — z chwilą wkroczenia na terytorium zapasów gospodarki kobiecej, staje się, jak na komendę, żartobliwy, dowcipny, przyjemny — niczem w salonie.

Tragiczne nieporozumienia — przerywane są co chwila wybuchami niepohamowanej wesołości.

I gdy towarzyszką jego doli-niedoli, po całym dniu pracy, układa młodsze dzieci do snu, nakrywa stół według skomplikowanych przepisów do posiłku wieczorowego, lub przebiera się (nieodzwornie) na obiad — on, przypasawszy niebieski, ceratowy fartuszek — skrobie kartofle, czy jakie inne jarzynki w kuchni; przyrządza (z książki) sosy i sałatki i, ustawivszy aluminiowe rondelki z puddingiem i pieczysem na elektrycznym piecyku — zasiądzie tuż obok z zegarkiem i „Times'em”. I gotuje. Najnormalniej w świecie gotuje obiad dla całej rodziny.

Każda zaś, bacznie obserwująca, lady już dziś stwierdzić może, że małżonek jej, brat, starszy syn, a nawet zaprzyjaźniony z domem, bawiący przy końcu tygodnia gość — przekłada stanowczo sztukę kulinarną nad sprzątanie w salonie, a najbardziej go mężczy... wycieranie kurzu.

Nie słyhać też dotąd, aby wymyślał jakieś swoje, wyjątkowe potrawy, czy starał się zaprowadzić radykalne zmiany na półkach kuchennych, lub w menu: Jest, jak ten dobrze wyćwiczony żołnierz na placu: robi swoje i milczy.

A kiedy ma głowę wolniejszą od własnych spraw, kiedy nastają dla niego holydays, staje się tak pedantyczny i skrupulatny w wykonaniu swych nowych obowiązków kuchennych, że śmiało można o nim powiedzieć — jest „plus catholique que le pape!”

Doskonale i bardzo prędko nauczył się też kupować. Wszystko już teraz kupi i nic nie popłacze: i mięso, i laseczkę wanilii, ryby i owoce, i włóczkę, albo wstążkę, kiedy potrzeba. Prosi tylko, aby mu zaraz dać próbkę i aby mu wypisano ilość, gatunek i cenę, dokumentnie.

Nie dlatego, żeby miał zapomnieć... raczej przeciwnie — żeby nie zapomniał, czego pragnęła... jego pani.

Zresztą od wieków, odkąd zbudował sobie piękny, na fundamentach mocnych dom, anglikowi przypadło w udziale obsługiwać swe ladies, gdy zasiadały po całym dniu pracy do stołów. Nawet w najcięższej dla kobiet erze wiktoriańskiej, gdy despotyzm i rygor, idący zgóry, przenikał do każdego kąta życia społecznego, to On — krajał i rozdzielał mięsiwo podczas posiłków dla całej rodziny; On — podawał puddingi, owoce, cukry — swym damom. Należało to bowiem do najdawniejszych, zakorzenionych tradycji.

Dziś podwoił, potroił swą kurtuazję: nietylko już kraje, i podaje, i obsługuje podczas „dinner”, lecz, po skończonej uczcie, to — On — zabiera się do najprzykrzejszej pracy — zmywania statków.

Coprawda, wygląda to nieco inaczej, niż u nas! W olbrzymiej wanience, pod kranami z wiecznie gorącą wodą, przy pomocy szczotek rozmaitego kalibru, osadzonych na długich, wygodnych patyczkach, mając tuż obok odpowiednie piecyki do osuszania talerzy, szklanek, rondelków... Raz, dwa, trzy!

A kiedy powróci z kuchni do salonu, na czarną kawę, przyrządzoną rączkami lady, w swoim nieśmiertelnym czarnym smokingu (oczywiście, już bez ceratowego fartucha!) — pan z niego całą gębą! Nie poznasz po nim, że przed chwilą był kucharzem, kuchnikiem, lokajem.

Takim jest w domu, u siebie, gdy go nikt nie widzi, ani się nawet domyśla.

(c. d. n.)

Han. Ska.



ŻYCIE TOWARZYSKIE

Jak sobie ułożymy życie towarzyskie po powrocie z wywczasów letnich? — to pytanie, na które każda z pań powinna starannie opracować odpowiedź. Urok i siła życiowa, jakie idą od przyjaznych i serdecznych stosunków z ludźmi są faktem niezaprzeczalnym. Bez życzliwości ludzkiej nikt rady sobie w życiu dać nie zdoła.

Obowiązek ujęcia w racjonalne ramy stosunków towarzyskich spada przeważnie na barki kobiety. Rzadko który z naszych mężów ma czas i umiejętność podtrzymania raz zawiązanych stosunków, a na tem właśnie ciąglem i stałem ich kultywowaniu polega prawdziwy talent towarzyski.

Okres wstępny zapoznanie się z nowymi ludźmi—to początek zaledwie, a wślad za nim dopiero idą wszystkie trudy, połączone w tym wypadku z dużą dozą przyjemności.

Koło znajomych prawie każdej z nas rozszerza się w ciągu lata. Ludzie, spotkani i poznani na gruncie neutralnym, mogą—stosownie do woli naszej i ochoty—wejść w skład grona bliższych znajomych. Jednak nigdy dosyć ostrożności w sprawie, związanej z przyjmowaniem do koła ludzi zżytych między sobą—jednostek nowych. Trzeba zatem wyrobić w sobie specjalny, a bardzo subtelny takt towarzyski, który daje nam umiar i pozwala znajomości przygodnej nie wyjść poza pewne ramy, nie ujmuje jej przytem nic z uroku, który w specjalnych, a nacechowanych swobodą warunkach, dać jest wstanie.

Poziom towarzystwa, w jakim się obracamy, ma bardzo poważny wpływ na rozwój i kształtowanie się, tak nasze, jak i naszego bliskiego otoczenia. Szczególniej jednostki młode, a przez to samo łatwiej ulegające wszelkim wpływom, wrażliwsze, mało krytyczne i niejednokrotnie zbyt wylane noszą na sobie wyraźne piętno wpływu ludzi, z którymi przestają. Obowiązek ciągłego dążenia wzwyż, do jakiego każda osoba inteligentna i kulturalna poczuwać się powinna, będzie narażony na poważne niebezpieczeństwo, jeżeli otoczmy się towarzystwem niestosownem, płytkim, takim, które nie da nam żad-

nego dorobku dla duszy i umysłu, a przeciwnie, rozdrobni i sprowadzi do zera nasze wartości osobiste.

Jeżeli zatem po dłuższem obcowaniu z ludźmi nowymi w warunkach, nie obowiązujących do dalszych stosunków towarzyskich, zorjentujemy się, że dana znajomość byłaby niewskazaną, możemy zawsze—przez stosowne i dyskretne wycofanie się w porę—uniknąć przykrości dania do zrozumienia komuś, że nie pragnęłybyśmy widzieć go w naszym domu. Natomiast tym, z którymi zbliżyć się pragniemy, należy w niedługim czasie po powrocie do domu złożyć wizytę, lub też, jeżeli w grę wchodzi osoba młodsze od nas, albo stojące niżej w hierarchji społecznej — zobowiązać je do odwiedzenia nas.

Po należytem naoliwieniu i puszczeniu w ruch maszyny domowej, która w półśnie letnim zatracą zwykle umiejętność sprawnego funkcjonowania, przechodzi chwila na złożenie wizyt powitalnych. Tak, jak wyjeżdżając z każdym z bliższych znajomych osobicie, telefonicznie, lub listownie, pożegnać się trzeba, tak i za powrotem nie wolno pominąć przypomnienia się pamięci życzliwych. Najżywszy nawet i najcieplejszy płomień przyjaźni przygasa, niepodsyćany, dlatego też trzeba umieć podsycić go w porę.

Sądzę, że dzisiaj, kiedy rzadko która z kobiet prowadzi życie beczynne, a przez to samo nie dysponuje nadmiarem wolnego czasu, najracjonalniejszą formą ujęcia życia towarzyskiego będzie wyznaczenie dnia przyjęć. W dniu i godzinach, przeznaczonych na przyjmowanie gości, wolne od zajęć i odpowiednio przygotowane, będziemy łatwo mogły stworzyć osobom, odwiedzającym nas, miły i tchnący staraniem nastrój.

Składając zatem powitalne wizyty, nadmienimy o obranym dniu przyjęć, który wyznaczymy dwa razy, lub raz w miesiącu.

Taki typ przyjęć jest bardzo wskazany również i dlatego, że w godzinach podwieczorkowych łatwiej stosunkowo małym kosztem osiągnąć zadawalniające rezultaty.

W najbliższym okresie owoce ułatwią nam bardzo takie poobiednie przyjęcia. Gruszki, jabłka, śliwki i orzechy, ułożone na liściach winogronowych, lub tak efektywnie zmieniających barwę liściach dzikiego wina, wyglądają ślicznie. Podając owoce, należy pamiętać o specjalnych, małych nożykach i widelczykach do obierania, krajania i jedzenia owoców, bez których obejść się trudno. Do owoców najlepiej podawać serwetki bibułkowe, gdyż białe, lub kolorowe z materiału, zawałane sokiem owocowym, trudne są do wyprania i zachowują dłuższy czas brzydkie żółtawe plamy.

Skalę takiego przyjęcia należy dostosować ściśle do warunków materialnych i domowych. Jeżeli nie posiadamy zręcznej i wyszkolonej służby, obmyślimy i przygotujemy wszystko tak, aby się bez jej pomocy obejść można. Różnorodne i śliczne maszynki do kawy lub herbaty—elektryczne, lub spirytusowe,—które w salonie nietylko nie rażą, ale upiększają zastawiony stół, będą nam w tym wypadku bardzo pomocne.

Podstawą five'o clocku jest zwykle herbata, kawa biała i kawa czarna. Do herbaty podać można eleganckie, małe, barwne i pomysłowo spiętrzone kanapki, pamiętając o tem, aby wielkość ich nadawała się do jednorazowego wzięcia do ust: krajanie kanapek na talerzykach, spoczywających przeważnie na kolanach jedzącego, jest niewygodne i nieestetyczne. Jeżeli podajemy tylko kawę białą i czarną,

nie należy nigdy dawać tartinek, natomiast tak do herbaty, jak i kawy wszelkie grzanki i toasty, ciasto drożdżowe i deserowe, torty; a do czarnej kawy jedynie drobne, wykwintne ciasteczka, lub torty.

Grzanki są przy zestawianiu podwieczorkowego menu czynnikiem pomocniczym. Zrobione umiejętnie, elegancko podane, świeże, chrupiące, złocistego koloru—wniosą zawsze pewne urozmaicenie tam, gdzie znajduje się nadmiar słodyczy. Nie należy jednak robić ich nigdy dużemi partjami, bo z chwilą, gdy wystygną, tracą na wykwincie i smaku. Zarówno maleńkie, cieniutko pokrajane grzanecki z czerstwych rogalików, ususzone w piecyku na kolor jasno-złoty, jak i przypiekane bez tłuszczu na wolnym ogniu, nieco grubiej z długiej świeżej bułeczki krajane, a przy pominające do złudzenia angielskie toasty—powinny być podane na podłożu serwetek koronkowych z grubego białego papieru, takich, jakie używamy pod torty. Daje się do nich masło deserowe najwykwintniejszego gatunku, które urabiamy zapomocą specjalnych deseczek karbowanych w maleńkie kuleczki.

Masło, podane w masielniczce, najstaranniej nawet ułożone, traci w kontakcie z zaborczym nożem na estetyce i świeżości wyglądu. Bardzo ładne i smaczne są też krajanki z chleba białego i razowego, które robimy w ten sposób, że cieniutko krajany chleb biały i razowy smarujemy grubo masłem z jednej strony, a po ułożeniu plasterków zmiennymi warstwami,—raz czarną, raz białą —krajemy cienko wpoprzek, formując kawałki, podobne do niewielkich ciasteczek.

Świeżo pieczone i przesypane cukrem z wanilią wafle, kruszki, z ręcznie rozkrwane ciasteczka pojedyncze, lub też składane podwójnie, a przekładane kremem maślanym, lub wykwintną marmelodą owocową; zależnie od okresu, strucle, pączki, faworki, babki drożdżowe, babki śmietankowe, makaroniki, tak słone, jak i słodkie paluszki, mało kosztowne i nietrudne do zrobienia w domu—pozwalają każdej z nas ułożyć pomysły, a przystosowane do jej umiejętności gospodarczych i środków przyjęcie. Wszystko jednak powinno być niewielkie i mało amborasowne do jedzenia. Wszelkie ciastka, łatwo się rozsypane, przyprószone cukrem, które zagrażają ubraniom, meblom i dywanom, muszą być tak maleńkie, żeby odrazu mogły być wzięte do ust.

Herbaty i kawy nie należy nigdy parzyć w zbyt wielkich ilościach: pierwsza przeciąga łatwo, traci na aromacie i kolorze; druga, odgrzewana, zatracca wszelkie cechy dodatnie. Do herbaty podawać można surową śmietankę (na gotowanej formują się łatwo kożuszki, rozplývające się po herbacie tłustemi kręgami), cytrynę, obraną ze skórki, pokrajaną w cieniutkie plasterki i starannie oczyszczoną z pestek, dających niemiłą gorycz; do czarnej kawy również surową śmietankę, lub likier. Wszelkie sezonowe owoce, w okresie upałów kawę mrożoną, kawę czarną z lodem, czekoladę z lodem, limonjadę pomarańczową, lub cytrynową (zimne napoje podaje się w wysokich, wąskich kieliszkach, dając słomki do picia.) kruszon, robiony z krajowych win, nalewanych na świeże, aromatyczne owoce, wreszcie lody o różnych smakach i barwie, a do nich specjalne niewielkie wafelki.

Aczkolwiek utarło się tak już od wieków, że podstawą każdego zgromadzenia ludzkiego i każdej uroczystości, ich punktem kulminacyjnym — jest jedzenie, nie należy zapominać o tem, że otoczenie w jakim przyjmujemy gości, to nierównie ważniejszy czynnik nastroju. W najskromniejszych nawet scia-

nach, umiejętnie i ładnie oświetlonych, ożywionych czarem więzi świeżych kwiatów i szczerą, niewymuszoną uprzejmością—można dać ludziom możność przeżycia chwil niezapomnianych. Filizanka wonnej dyumięcej herbaty, podana estetycznie, wypita w ładnym otoczeniu, przy miłej rozmowie, zapisze się w pamięci każdego dużo trwalszemi zgłoskami, niż uginające się od smakołyków stoły, nad którymi zawisł chłód i brak wdzięku, jaki wnosi ze sobą zawsze i wszędzie domieszka niezastąpionej kobiecości.

Nie wątpię, że każda z pań, niezależnie od środków i warunków zewnętrznych, będzie umiała nadać swoim przyjęciom cechę swoistego wdzięku, a przywołując do pomocy czar swobody, takt towarzyski, umiejętność zespolenia wszystkich obecnych, ładny i staranny sposób podania, wyrafinowanie szczegółów—osiągnie łatwo rezultaty, jakie będą mogły służyć za przykład nawet w bardzo zamożnem środowisku.

W. D.



HODOWLA WINOGRON

Rok 2 — jesień. Na jesieni, zwykle przed zachowaniem winorośli w ziemię, wykonywa się najważniejsze cięcie.

Wici, dwie od dołu, tnijemy na 3—5 oczek, a następne dwie, na 7—9 oczek: im silniejsze, tem wyżej.

Musimy jeszcze sobie upatrzeć na przewodniku nowe cztery pędy, aby było 8, a przewodnik dziewiąty. Pęd zaś piąty i szósty, odległy od trzeciego i czwartego na 10 — 12 cali, i pęd siódmy i ósmy od szóstego, również na 10—12 cali.

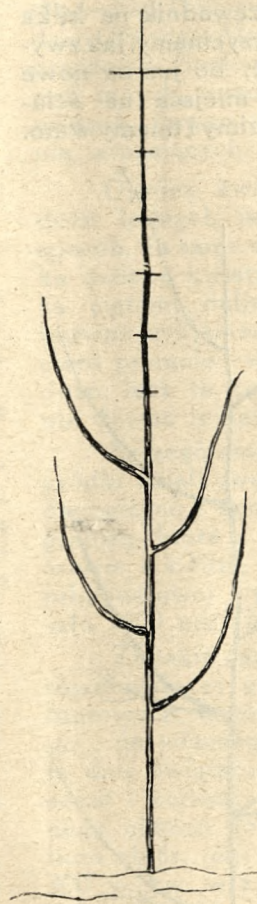
I te pędy również przyciąć na 3—4 stóp, wszelkie inne—odrzuścić.

A przewodnik przyciąć ponad ostatnim pędem ósmym, też na 12 cali (rys. 11).

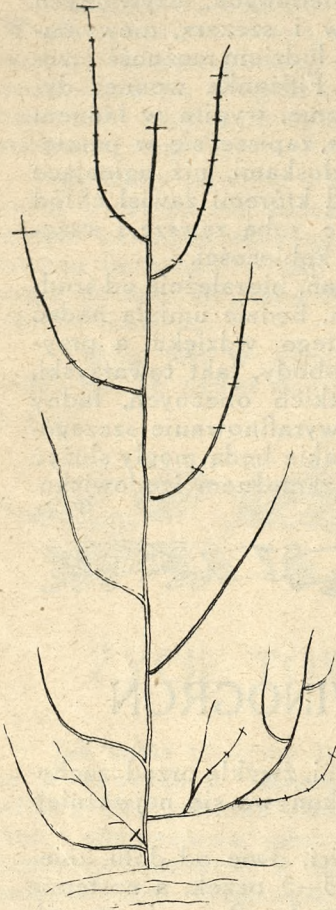
Rok 3 — wiosna. Wiosną te pędy się zatrzymuje; wszelkie inne, które wiosną odrzuca się i te prowadzi się podobnie, jak pierwsze cztery.

Z pierwszych czterech wici wyrosną także różne pędy już z owocami; które mocniejsze — zatrzymamy, (trzy, lub cztery gałązki, stosownie do siły wici i z najładniej szemi gronami.) Grona wszystkie trzeba odrzuścić, aby nie osłabić wici, jak również, aby owoc nie był zadrobny.

Jeden pęd, położony najbliższej nasady, zatrzymujemy, jako zastępczy. Pędy z owocami trzeba uszczknąć na dwa liście nad najwyższem gronem, a wszelkie inne wilczki—też ponad drugim liściem. Tę czyn-



rys. 11



rys. 12

nie (r. 13). I tak dalej, co rok, prowadzimy i tniemy wino.

Zasada cięcia. Nie wolno nigdy ciąć wici na wiosnę, ani latem, (nie mówię o pędach,) gdyż wino płacze; to, co pisałam, odnosi się tylko do młodych pędów.

Wici można ciąć tylko jesienią.

Zawsze robi się cięcie pośrodku, między dwoma oczkami.

Wciągu lata czuwać trzeba, aby usuwać wasy, jako zupełnie niepotrzebne.

Oslabienie krzewów. Trzeba obserwować wzrost krzaków, aby nie rosły zbyt leniwo, o ile są słabe, wzmacniać krótszym cięciem i zasilać nawozami.

Ciepłe nawozy. W pierwszym rzędzie winorośli jest potrzebny tak zwany ciepły nawóz.

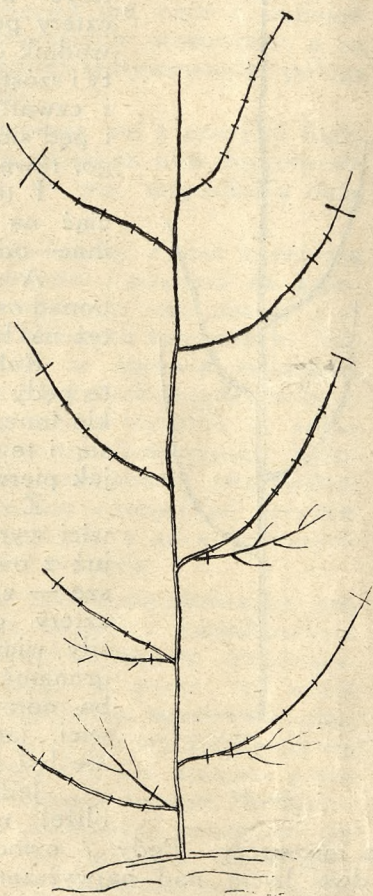
Późną wiosną i latem, jakies trzy razy, można podlać krwią bydłą, rozcieńczoną z wodą pół na pół. Taką

ność wykonywa się nie częściej, niż co dwa tygodnie, gdy będą miały po siedem liści, i tylko do lipca, gdyż później wino choruje, więdną ziarenka z owocem. Już od lipca nie ciąć nic, nawet liści, choć niektórzy to robią, aby odsłonić owoce i tem ułatwić dojrzewanie. Złe to jednak wpływa na owoce, o które nam głównie idzie.

Pęd zastępczy ucina się, skoro dosięgnie czterech stóp długości; wilczki na nim też się obcina ponad drugim liściem (r. 12).

Rok 3 — jesień. Na jesieni odejmujemy całe części, które owocowały, pozostaje tylko wic zastępcza, i tę skracamy, słabszą na 3 — 5 oczek, a mocniejszą — na 7 — 9 oczek. Tak samo postępujemy z wiciami 5, 6, 7, 8, jak z pierwszemi czterema.

Przewodnik na kilka oczek przycinamy, jak zwykłą wic, bo już na nowo niema miejsca na ściąganie.



rys. 13

kręć trzeba przywieźć w beczce od rzeźnika; niech jakiś czas postoi pod działaniem powietrza, a potem dobrać wodą i podlać, najlepiej po deszczu w dzień pochmurny.

Można też podlewać gnojówką z dodatkiem $\frac{2}{3}$ części wody, ale gnojówka nie może być świeża, tylko również odstała, w stanie przefermentowanym. W ogrodzie powinno się posiadać stale takie beczki, gdzie można wlewać różne ciepłe nawozy, które muszą się dłużej odstać.

Jak podlewać.

Niech się nam nie zdaje, że lejąc wodę pod same krzaki winorośli, otrzymujemy z tego pożytek dla roślin, bynajmniej: jak pisałam poprzednio, winorośl ma tak długie korzenie, że ta woda nigdy tam dojść nie może. W tym celu robimy otwory w ziemi na łokieć i więcej, tępy, grubym prętem żelaznym, aby nie uszkodzić korzeni.

Robi się od trzech do pięciu takich dziur na jeden metr od krzaka — znowu od tego odstęp na jeden metr i t. d.

W takie dziury wlewa się konewką (oczywiście bezsitka) przygotowany płyn, ile go się zmieści; gdy wsiąknie, można jeszcze raz powtórzyć (r. 14).

Podlewanie wodą. O ile jest wielka susza, winorośl lubi, aby skrapiać liście od góry, przez sitko, lub rozpylaczem.

Pod korzenie specjalnie nie lubi wody, chyba w duże upały i susze.

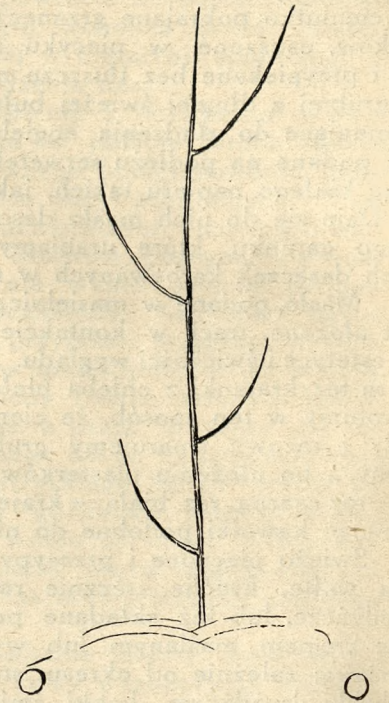
O wycinaniu jagód. W ciągu lipca, o ile się okaże, że grona są zanadto zwarte, więc temsamem będą mniej dorodne i drobniejsze, robi się wycinanie jagód, naturalnie nie dużo i bardzo ostrożnie, aby nie ukłuć tej jagody, co jest obok, która ma pozostać, gdyż owoc, choć trochę skałeczony, lub ukłuty, gnije i psuje obok drugie.

W tym celu trzeba mieć dobre odpowiednie nożyczki z nieostremi czubkami.

Skoro tylko owoc zaczyna dojrzewać, często między jagodami może się trafić i zgniła, lub uschnięta, taką trzeba zaraz usunąć, aby nie psuła sąsiednich.

Obrączkowanie. Niektórzy stosują obrączkowanie, robi się ono w sposób następujący:

Gdy winorośl zaczyna kwitnąć, wycina się korę do drzewa na pasek, szerokości $1\frac{1}{2}$ cm. wokoło na tych gałązkach, co owocują i będą w jesieni usunięte, a robi się to pod gronami (rys. 15).

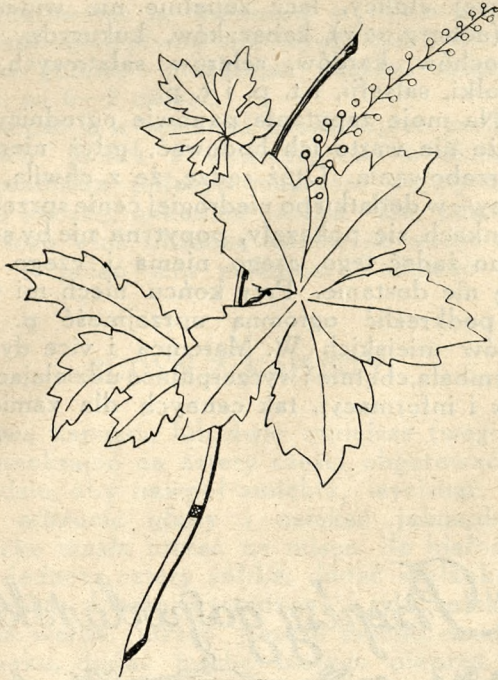


rys. 14

Malowanie ściany. Ponieważ czarny kolor jest uznany jako przyciągający promienie słoneczne, przeto można pomalować ścianę czarnym kolorem, aby przyspieszyć dojrzewanie winogron, ale rzadko spotykamy to w winnicach.

Poprawna forma. O ile po paru latach zauważymy, że krzak stracił właściwą formę, wtedy trzeba mu nadać poprawną, w następujący sposób:

Na jesieni odejmuje się wszystkie wici, a zostawia jedną, najpiękniejszą, środkową, wychodzącą z ziemi, i na niej trzeba przywrócić i poprowadzić dobrą i właściwą formę.



rys. 15

Przywiązywanie. Całe lato czuwać musimy, aby wszystkie pędy winorośli były zawsze przywiązane: wiatr łatwo może złamać, zniszczyć najpiękniejsze, a tem samem i najcięższe owoce.

Grzybek na winorośli. Są to białe plamki na liściach, tak zwana „fałszywa rosa mączna“.

Przedewszystkiem takie chore liście trzeba obrywać i koniecznie palić, aby zaraza się nie rozszerzała.

Leczenie. Chorą winorośl leczy się zapomocą „cieczy bordoskiej“, którą trzeba zraszać liście wszędzie, raz przy razie, i po pewnym czasie znowu to powtórzyć, aby roślinę zupełnie wyleczyć.

(c. d. n.)

Zofja Łempicka.



POKAZ OGRODNICZY

1. 2 i 3 października w Poznaniu

Jeżeli wystawa hotelarsko-restauracyjna budziła pewne wątpliwości, co do ścisłości nazwy, gdyż hotelarskiego nie miała nic prawie, a restaurację — nie licząc piwiarni, winiarni, cukierni, gdzie wszędzie jedzono i pito — posiadała właściwie jedną — to nazwa „pokaz ogrodniczy“ była również nieściśłą, lecz w innym zupełnie znaczeniu: był to objaw zbytnej skromności, gdyż właściwie była to duża i ładna „Wystawa“.

Przejdę pobieżnie koło ogrodów prywatnych. Konkurencja, dobrze zrozumiany interes własny, zamięłowanie do własnego fachu panów ogrodników poznańskich dały wspaniałe rezultaty. Lata ostatnie tak rozwinęły kwaciarstwo poznańskie, że nietylko już się nie sprowadza z zagranicy kwiatów ciętych, co było powszechnym, doniedawna, zwyczajem, lecz sam Poznań eksportuje tysiące tych kwiatów nietylko na prowincję, lecz i do Warszawy. Masowa produkcja wpływa naniżenie cen i umożliwia konkurencję nawet po doliczeniu kosztów opakowania i przewozu.

Mnie osobiście wprost zaimponowały dalej — dawniej georginjami zwane. Dobór kształtów i kolorów nadzwyczajny. Dla pań, mieszkających na wsi, lub posiadających ogrody w mieście, wynotowuję te odmiany, które mi się najbardziej podobały. Są to: Porthos — różowa, Délice — różowa, King of automn — złoto-rudawa, Princess Mary — cudnie, mocno różowa, Insulindor — oranżowa, Enchante — resse, Schützenliesel i całe szeregi innych, między którymi masa malusich, pomponowych, dawno wyszłych z mody i do niej triumfalnie wracających.

Oprócz kwiatów, wystawiają ogrody handlowe dużo ładnych jarzyn, ułożonych przeważnie w taki sposób, że same stanowią motywy dekoracyjne i wszelką ozdobę kwiatami, lub zielenią czynią zbędną. Poza ciętymi daljami — wspaniałe chryzantemy, różnobarwne cyklameny i wszelkich różowych i lila odcieni prymule — wszystkie kwiaty jesieni. Róż już niemiędużo, lecz te, co są — bardzo ładne; zresztą, sezon na nie dawno minął.

Szczególniejsze zainteresowanie moje budzą ogródki działkowe, których znaczenie zdrowotne, pedagogiczne i społeczne dawno oceniono wszędzie zagranicą, które z taką trudnością rozwijają się w Warszawie, a kwitną w Poznaniu. Już rok temu, w czasie jubileuszowej wystawy ogrodniczej, liczyły one przeszło 1500 udziałowców.

Że takie ogrody — oprócz zdrowej pracy fizycznej, równoważącej godziny, przesiedziane przy zajęciach biurowych, oprócz rozwijania zamięłowania do roślin, no i do własnego kąta, gdzie wieczory letnie i całe dni świąteczne spędzać może rodzina, — dają jeszcze i korzyści materialne, świadczy o tem list pewnego Niemca do gazety „Mein Heimgarten“, który oblicza zbiór, jaki miał w swoim ogródku na obsianych 300 m. kw. w r. 1921:

40 funtów cebuli, 60 f. buraków, 50 f. marchwi, 50 f. porów, 40 f. szpinaku, 40 f. zielonej fasoli, 30 f. cukrowego groszku, 3 centnary pomidorów, 20 f. truskawek, 30 f. agrestu, 35 f. porzeczek, 100 szt. rzodkwi, 30 sztuk selerów, 100 sztuk kalarepy, 65 sztuk kapusty brukselskiej.

Jak z tego widać—za wyjątkiem kartofli i cebuli, wymagających większych przestrzeni,—pokrył on zapotrzebowanie jarzyn i jagód całej, nawet dużej rodziny. Co prawda, oprócz własnej, zapewne umiejętnej i intensywnej pracy, włożył w ogródek furę nawozu stajennego, 60 funtów tomasówki i superfosfatu, 60 f. soli potasowej, 10 f. siarczanu amonu, 10 f. saletry chilijskiej i nawóz z gołębnika.

Ogródki działkowe osiągnęły wysoki poziom rozwoju w Poznaniu; ich stoisko na pokazie zdobią ładne jarzyny, kwiaty, owoce nawet, które na kartach na tak małej przestrzeni z powodzeniem hodować można. Kieruje nimi Dyrekcja ogrodów miejskich z p. dyrektorem W. Marcińcem na czele, która opracowała statuty, regulaminy i umowy dzierżawcze.

Specjalny instruktor udziela rad i wskazówek co do hodowli roślin i drzew owocowych; specjalne wykłady odbywają się w poszczególnych kolonjach, gdyż aby spełniać dobrze swe zadanie, ogródki takie muszą być położone w różnych dzielnicach miasta, aby dostęp, ewentualnie dojazd, do nich był łatwy i bliski: jest to jeden z głównych warunków ich pomyslnego rozwoju.

To też we wszystkich projektach i planach rozbudowy wielkich miast place na takie ogródki w każdej dzielnicy powinny być przewidziane i zarezerwowane. Oprócz ogródków działkowych ma Poznań dużo obszernych i dobrze utrzymanych ogrodów i zieleńców, z których park Wilsona jeszcze teraz, mimo późnej jesieni, zachwyca bogactwem klombów kwiatowych.

Imponująco wyglądają stoiska szkół. Państwowa szkoła ogrodnictwa w Poznaniu jest szkołą zawodową typu wyższego. Posiada ona dwa wydziały: ogrodnictwa użytkowego i ozdobnego. Kształci samodzielnych techników ogrodniczych. Oprócz wspaniałego stoiska, napełnionego jednak, niestety kwiatami tylko, wystawia szkoła ekspozyty swoich wychowanców, gdyż w wystawie bierze udział — w charakterze samodzielnych wystawców—cały szereg tych byłych wychowanców szkoły.

Przechodzimy do ślicznego, w kształcie dużej, zielonej altany urządzonego kiosku Szkoły Ogrodniczej Wielkopolskiej Izby Rolniczej w Koźminku. Jest to szkoła typu niższego, z kursem nauk trzyletnim, istniejąca od 1867 r., kształcąca zawodowych ogrodników. Oprócz wspaniałej kolekcji owoców i pomidorów, starannie opakowanych, jak do przesyłki koleją lub pocztą, wystawia szkoła Koźmińska winogrona, hodowane na wolnym powietrzu, na szpalerach wolnostojących, i wspaniałe grona winne z hodowli cieplarnianej.

Ta pierwsza kolekcja szczególnie ma dla nas olbrzymie znaczenie, gdyż dowodzi, że nietylko w południowych Zaleszczykach, lecz i na terenie Wielkopolski szczep winny może być hodowany z powodzeniem. Po długoletnich próbach otrzymano okazałą, liczną i urozmaiconą kolekcję gatunków, z których te, które mi się najbardziej ze smaku i wyglądu podobają, na użytek moich czytelniczek, chcących kulturę winogron u siebie spróbować, poniżej wyliczę. Są między nimi gatunki europejskie, azjatyckie i amerykańskie.

Najlepszymi i na nasz klimat najbardziej odpornymi okazały się:

Chasselas Impérial, Chasselas Rouge Idéal, Malin-gre blanc, Salem, Czerwone z Kaukazu, Lipskie wczesne, Niebieski burgundzkie, Triumf (polska odmiana),

Szeregi stołów pokrywają ekspozyty owoców, przysłanych przeważnie przez dwory wiejskie. Dorodne egzemplarze jabłek, a szczególnie gruszek, których tegoroczny nieurodzaj nie osiągnął, widocznie, Wielkopolski. Z jarzyn nowa, amerykańska odmiana dyni „Squatsch“, podobna kształtem do kabaczka i takie samo zastosowanie mająca w kuchni, różni się jednak od niego złoty-żółtym kolorem i guzowatą powierzchnią.

Jeżeli wolno mówić o brakach, to ich najwięcej jest w dziale jarzyn i wszystkie te same, na które cierpi warzywnictwo warszawskie. Coprawda, są wspaniałe, olbrzymie selery i pory, o które tak trudno w naszej stolicy, lecz zupełnie nie widać bakłażanów (aubergine'y), kabaczków, kukurydzy cukrowej, karczochów, kardów, selerów sałatowych, endywji, eskarolki, salsefji, i t. p. i t. p.

Na moje zapytania panowie ogrodnicy odpowiadali, że nie warto ich hodować, gdyż niema na nie zapotrzebowania. Otóż sądzę, że z chwilą, gdyby te jarzyny—w dodatku po niedrogiej cenie sprzedawane—na rynkach się pokazały, popyt na nie by się znalazł. Trudno żądać tego, czego niema i czego wiadomo, że się nie dostanie. Przy końcu niech mi wolno będzie podkreślić ogromną uprzejmość p. dyrektora ogrodów miejskich W. Marcińca i vice dyrektora p. W. Zembala, chętnie i wyczerpująco udzielających wskazówek i informacji, tak cennych dla zamiejscowych gości.

Pani Elżbieta.



ZRAZY Z CHRZANEM

Na pięć do sześciu osób kilo miękkiego mięsa od zrazówki, lub od skrzydła pokrajać na cienkie plastry, zbić mocno, uformować równe zrazy, zrumienić na maśle z dużą ilością cebuli, popieprzyć nieco i dusić w rondelku, podlewając wodą, aż zmiękną. Utrzeć korzonek chrzanu, skropić octem, posypać łyżeczką cukru i posolić; postawić tak na godzinę, aby chrzan stracił pierwszą ostrość. Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, nie rumieniąc, rozprowadzić dwiema szklankami wody, lub lepiej rosółu, zagotować, dodać półkwaterek śmietany i chrzan z octem, zagrzać mocno, nie gotując więcej.

W głębokiej nelsonce układać zrazy wraz z sosem, który się z nich wydusił, przekładając chrzanem. Pokryć chrzanem, posypać obficie serem ostrym i tartą bułeczką i wstawić na dziesięć minut w dobrze gorący piec. Oddzielnie podać przysmażane kartofelki, lub purée kartoflane, albo czarną kaszę hreczaną, ugotowaną na sypko. Można też ugotować kilo kartofli w łupinkach, obrać, pokrajać na plastry i przełożyć niemi zrazy. Chrzanowym sosem polać po wierzchu i razem zrumienić. Należy w takim razie zrobić podwójną proporcję sosu chrzanowego.

KACZKA NADZIEWANA MAKARONEM

Ćwierć kilo makaronu połamać w calowe kawałki, ugotować w osolonym wrzątku; gdy już nie chrupie w zębach, odcedzić, zmieszać z 10 deka przerstalej szynki, pokrajanej w drobną kostkę, jednym całem jajkiem i odrobiną majeranku.

Młoda, mięsista kaczka, starannie oczyszczoną z supłów i opaloną nad spirytusem, osolić zzewnątrz i wewnątrz, nadziać przygotowanym makaronem, zaszyć i piec na brytfannie, lub dusić w garnku, polewając narazie masłem i wodą, potem sosem, który z siebie puści. Gdy kaczka upieczona, co można poznać, przekłuwając ją widelcem w miejscu najgrubszym (udko)—jeśli płynie sok czysty bez krwi i mętu, to kaczka gotowa,—przekrajając kaczkę, zależnie od wielkości, na 6—8 części.

Tymczasem w sosie od kaczki upiec prędko 6—8 średnich jabłek z wydrążonymi środkami. Na środku półmiska położyć makaron, wyjęty z kaczki, wkoło kaczkę, nakoniec jabłka. Do pozostałego tłustego sosu wlać filiżankę rosołu, lub wody, zagotować raz i polać tem makaron. Podawać bardzo gorące.

BUDYŃ Z KAPUSTY

Głowę kapusty, lub dwie mniejsze (wagi około 5 kilo) przekrajać na cztery części, obgotować w osolonej wodzie, aby nawpół zmiękła, wycisnąć dobrze z wody, odrzucić głąby i usiekać jaknajdrobniej. Dobrą łyżkę masła utrzeć na misce do białości, dodając po jednym cztery żółtka; dodać szklanke tartej bułki, kapustę dobrze wystudzoną i tyle mleka, aby masa była wolna; utrzeć jeszcze mocno razem, osolić do smaku, dodać trochę białego pieprzu, białka ubite na pianę.

Przełożyć do formy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Gotować na parze godzinę. Wyłożyć ostrożnie na półmisek. Polać masłem, zrumienionem z bułeczką. Można też oddzielnie podać sos pomidorowy.

LEGUMINA WAFLOWA

Utrzeć na śmietanę 10 deka tłustego masła, dodać cztery żółtka, szklanke cukru, trochę utłuczonej wanilii, ucierać, aż masa spulchnieje i zbieleje; dodać 25 deka (ćwierć kilo) mąki i tyle mleka, lub śmietany, żeby masa była gęsta, jak najlepsza śmietana. Ubić białka na sztywną pianę, zmieszać z resztą masy. Miskę z ciastem wstawić w drugą z zimną wodą, aby pianka nie opadła. Nakładać łyżką do formy i piec na gazie, lub węglach, gdyż na płomieniu drzewnym, lub węglowym łatwo się wafle palą, a zawsze źle rumienia. Formę tylko wtedy smarować, kiedy wafle źle odstawać zaczynają. Formy do wafli nigdy się nie myje, tylko po każdym pieczeniu starannie wyciera i trzyma w czystym i suchym miejscu. Przed ponownem użyciem starannie się ją wygrzewa, aż stary tłuszcz wypali się zupełnie; wtedy smaruje się ją nanowo masłem i piecze wafle, jak wyżej. Dziesięć winkowatych jabłek upiec, przetrzeć przez sito, zmieszać z filiżanką cukru i doskonale utrzeć razem. Tą masą smarować wafle i układać w prawidłowy kwadrat na półmisku. Gdy wszyst-

kie ułożymy, ubić szklanke najlepszej śmietany na pianę, zmieszać z łyżką cukru, utłuczonego z wanilią, posmarować tym kremem ze wszystkich stron i powierzechu wafłową babkę, ubrać konfiturami i polać sokiem. Tej proporcji starczy na 10—12 osób.

WINO Z POMIDORÓW

Zastrzegam się zgóry, że wbrew memu stałemu zwyczajowi podawania tylko wypróbowanych przepisów, na wyraźną prośbę kilku czytelniczek, spowodowaną zapewne tegorocznym ogromnym urodzajem pomidorów, podaję ten przepis do wypróbowania tylko; sama go też będę tylko próbowała. Jeśli się komu nie uda, odpowiedzialności za to nie ponoszę.

7 kilogramów pomidorów rozgnieść na maszynce; wycisnąć bez dodawania wody; dodać dwa kilo cukru, 3 gramy „dealmu“, dwa gramy kwasu cytrynowego; płyn raz zagotować, ostudzić. Trzy dni przedtem przygotować na soku pomidorowym, przegotowanym i ostudzonym, rozczyn (matkę drożdżową) z drożdży razowych Malagi lub Madery. Zlać do butelki, pozostawiając przestrzeń kilku cali na burzenie się wina przy fermentacji; zakorkować korkiem z czopem fermentacyjnym z wodą lub gliceryną, oblać korek wkoło parafiną, postawić w ciepłe. Po trzech miesiącach ma być to wino zdatne do użycia.



DOBRE RADY

Chcąc dłuższy czas przechować cytryny i ustrzec od pleśnienia, trzeba zanurzyć je na pięć minut w pięcioprocentowym roztworze boraksu z wodą. Po pięciu minutach wyjąć cytryny, dobrze wysuszyć miękkim gałgankiem i trzymać w suchym miejscu, powkładane między suche gałązki, ustawione tak, jakby rosły.

* * *

Trzeba pamiętać, prasując wełniane i flanelowe ubrania, aby żelazo nie było bardzo gorące, a materiał, przykryty kawałkiem płótna, obrócony był na lewą stronę. Prasowany zbyt gorącym żelazem, skurczy się i zrobi sztywny i twardy, jak wełniak, tracąc zupełnie miękkość i elastyczność.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW podług przepisu Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny“ we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem“ (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniźnie. Mydło cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (udelikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.
HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu”. Redakcja „Bluszczu” zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani M.R. Kopalnia Czeladzi. Wydział weterynaryjny znajduje się przy Uniwersytecie Warszawskim i, oczywiście, kobiety przyjmują.

Co do zamiłowań wiejskich córek Sz. Pani, to najlepsze informacje da artykuł Z. Miszewskiej „O szkołach gospodarczych”, zamieszczony w Nr. 33 „Bluszczu”.

Stałej prenumeratorki z Krynicy. Jedyną możliwością wyzyskania tego rodzaju wykształcenia jest praca w jakimś posełstwie, czy ambasadzie, szczególnie, o ile Sz. Pani posiada dobrze języki. Wyższe stanowiska w dyplomacji są dla kobiet przeważnie zamknięte.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Elżbiecie. Włosy pod pachami wygalać można żyłką (zabieg bardzo łatwy), niszczyć pastami depilacyjnymi (przykro pachną i na wrażliwych skórkach powodują łatwo stan zapalny). Po wygoleniu należy wytrzeć wodą kolońską i przypudrować. Elektrolyza również usuwa włosy (zabieg uciążliwy, używać go się powinno przy włosach na twarzy). Przy obecnej modzie krótkich rękawów należy koniecznie depilować włosy pod pachą, gdyż, wyglądające z pod pachy, robią bardzo nieestetyczne wrażenie.

Czytelniczce M. W przeciwieństwie skłonności do tycia jest schudnięcie, które polega na zanikaniu tkanki tłuszczowej. Różne są powody tego stanu. Główną przyczyną: zmniejszona ilość pokarmów, nieodpowiedni skład i zbyt szybkie przechodzenie pokarmów przed przewód pokarmowy. Przez to cząstki pożywne nie wysysają się do jelit. Dziedziczność i skłonność wrodzona odgrywają tu rolę wybitną; pozatem skąpstwo, troski, nadmierna praca, choroby gorączkowe i chroniczne powodują wychudzenie. Przy nadmiernym wychudzeniu występuje osunięcie się trzewiów, organów kobiecych, co powoduje poważne zaburzenia. Pozatem przychodzi brak pamięci, zaburzenia sercowe i układu nerwowego. Występuje skłonność do hysterji, odporność na zachorowanie i pokonanie chorób infekcyjnych zmniejsza się.

Ze względów estetycznych również zbyt chudość jest bardzo nieprzyjemna i czasem nawet wzbudzająca litość. Pozatem występuje skłonność do zmarszczek i przedwczesne starzenie.

Kobieta bardzo szczupła wyglądać może dobrze jedynie w ubraniu, rozebrana zaś poprostu przeraża. Szczupła kobieta może być ładna tylko w wieku młodym, t. zn. do lat 30-stu. Zbytniej

chudości, jak zbytnej otyłości, należy się wystrzec. Najlepsze jest zachowanie równowagi. Zbytnią chudość należy zwalczać zarówno, jak zbytnią otyłość. Należy przeprowadzić kurację tuczącą. Zalecane jest wtedy leżenie w łóżku przy otwartych oknach, oraz przebywanie na leżaku, ewentualnie hamaku, bez ruchu przez cały dzień. Poza to należy przeprowadzać forsowne odżywianie. W tem odżywianiu przeważać powinny substancje mączne i tłuszczowe: mąka owsiana, cukier mleczny, mleko, masło deserowe, ser świeży, śmietana, śmietanka, oliwa. Z ciał białkowych: jaja, mięso pod rozmaitemi postaciami, wreszcie z trunków—piwo. Odżywianie powinno podawać się 4 razy dziennie. Należy dobierać potrawy smacznie przyrządzone, dobrane do upodobań, żeby można było zjadać z dobrym apetytem. Poza to wskazana jest elektryzacja i masaż, jako środek wzmacniający i pobudzający obieg krwi. Leczenie wewnętrzne powinno ograniczyć się do dawania środków farmaceutycznych na pobudzenie apetytu oraz żelaza i arsenuku na wzmocnienie.

Do irygacji dziewice powinny używać kanki mniejszej, t. j. tej samej, której się używa do odbytnicy. Kanka powinna być zawsze uprzednio wygotowana.

UWAGA: Kroje umieszczonych modeli, w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dziecinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Potrawy i konserwy z grzybów”

SPOSÓB UŻYTKOWANIA POSPOLITYCH I MNIEJ ZNANYCH GRZYBÓW

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Domowy warsztat zabawek”

SPOSÓB ZROBIENIA 35-CIU ZABAWEK BEZ ŻADNYCH PRAWIE KOSZTÓW.

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.